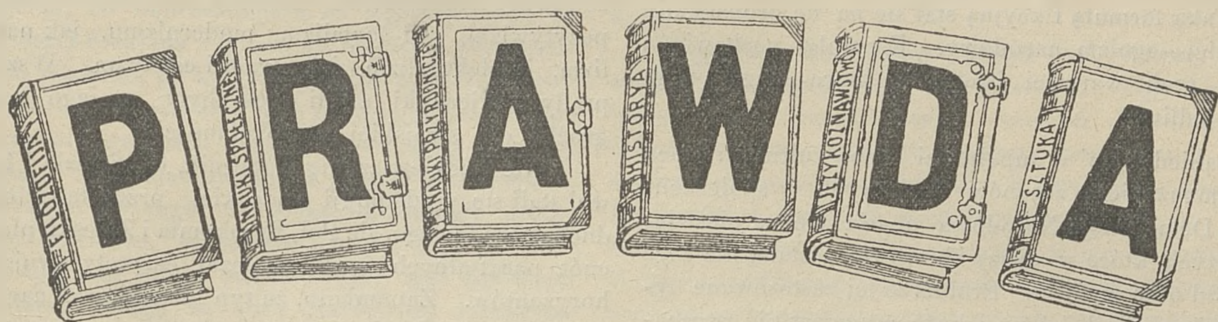
Nr 30 (1592). Warszawa, 29 lipca 1911 r. Rok XXXI



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **WŁODZIMIERSKA Nr. 5. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Wartości narodowe.

Egoizm wart jest tyle—twierdzi psychologja—ile jest wart duchowo ten, kto go posiada:—zdanie to, słuszne w zastosowaniu do jednostek, z większą jeszcze, być może, słusznością zastosować należy do narodów i zbiorowisk społecznych. W jego świetle zjawiska życia narodowego nabierają konsekwencji, a pozorne sprzeczności doświadczenia łączą się harmonijnie w syntezie wyższego rodzaju. W tym świetle egoizm narodowy znaczyłby tyleż, co w a r t o ś ć n a r o d o w a, d o c h o d z ą c a d o u z n a n i a s a m e j s i e b i e, i ujawniająca się nazewnątrz w zrozumieniu swego stanowiska, w poczuciu swej powagi.

W kraju naszym, gdzie olbrzymia większość społeczeństwa, w ciągu niemal ćwierćwiecza, hołdowała polityce egoizmu narodowego, akcentując prąd ów jaskrawo i w stosunkach wewnętrznych i na arenie międzynarodowej, zagadnienie właściwego pojęcia egoizmu staje się jednocześnie zagadnieniem taktyki politycznej.

Nacjonaliści polscy, skonsolidowani w stronnictwo demokratyczno-narodowe, zasadę egoizmu wystawili, jako hasło odrodzenia ojczyzny. Utwierdzone wewnątrz kraju, miało ono stać się ośrodkiem dla krystalizującej się zwolna w łonie ludu świadomości narodowej; stawione zaś u granic, miało wzmacniać odporność i poczucie odrębności kresów naszych, na wschodzie i zachodzie jednako zagrożonych.

Zasada ta, szczepiona na niwie społecznej uporczywie i wytrwale, wydać miała opłakane owoce: zdemoralizowała ona głęboko i wyjałowiła ogół polski, stronnictwo zaś samo przywiodła w końcu do zguby. Jeżeli dzisiaj znaleźliśmy się na samym dnie apatji, jeżeli wahadło energji zbiorowej zastyga prawie w bezruchu, chwiejąc się trwożnie między poszanowaniem szkoły polskiej a obawą ofiar mniemanych, jakie istnienienie jej pociąga—to bez wątpienia w pewnej mierze, na stan taki wpłynęły czynniki od nas niezależne, w znacznym atoli stopniu—przyczyniło się doń własne nasze ubóstwo i wyczerpanie duchowe, spowodowane rozrostem nacjonalizmu.

Narodowa Demokracja bowiem kładła w pojęcie egoizmu treść elementarną i pierwotną, pielęgnowała go, jako odruch i jako instynkt ślepy, nie dbając o uprawę istotnych wartości narodowych, któreby za fundament posłużyć mu mogły.

Tu właśnie otwiera się przedział olbrzymi między pojmowaniem egoizmu przez N. D-cję, a jego pojęciem, wspomnianym przez nas na początku. Gdy to ostatnie pojęcie poczytuje egoizm narodowy tylko za przyrodzoną prężność wewnętrznych sił narodu, szukającą samopotwierdzenia w torowaniu sobie nowych dróg rozwoju, N. D-cja apostołowała egoizm, jako ideę wybraństwa narodowego, opartą na sankcjach opatrznościowych. Fakt *istnienia* narodu polskiego zdawał się jej najwyższym, ostatecznym uświęceniem jego godności. Nie w imię jego rozwoju występowała, nie w imię postulatów pracy i potrzeb kultury, ale w imię jego *trwania*.

Krzewiąc egoizm narodowy w szerokiej masie społecznej, Endecja nie pytała o wartość owej masy, ani pod względem moralnym ani umysłowym; a więc w rezultacie, nie pytała, ile jest wart ów egoizm, który krzewiła. Stawiąc go poza wszelką krytyką i rozbiorem, przypisywała mu znaczenie absolutne, zbawczość bezwzględną. Zapominając że tam, gdzie niema siły rzeczywistej, przeświadczenie o sile swej jest pustą fanfaronadą, tam zaś, gdzie niema charakteru ani hartu woli, pewność siebie bywa tylko pyszałkowatością, Narodowa Demokracja przeniosła punkt ciężkości

z potęg rzeczywistych i przedmiotowych na podmiotowe formuły owych sił i potęg, formuły zupełnie fikcyjne.

Taką formułą fikcyjną stał się na tle propagandy endeckiej—egoizm narodowy. Formułą pozbawioną gruntu tych wartości istotnych, które mogłyby go usprawiedliwić.

Zaniedbując w zupełności glebę kultury i pracę nad pomnażaniem zasobów duchowych w społeczeństwie, Demokracja Narodowa oparła się na pierwiastkach tych, które w duszy zbiorowej zastała, nie czyniąc śród nich wyboru. Probierze jej zastosowane były do mierzenia ilości, na jakość natomiast nie zwracała żadnej uwagi. Akceptując zaś wszystko to, co zastała, w rzeczywistości przyjęła i uświęciła cały ogrom niedoli i upośledzenia kulturalnego kraju, i na gruncie niedoli tej dźwigając uczucie egoizmu, wytworzyła osobliwy w historji objaw zazdrosnej o swą ślepotę —nędzy, i czuwającej nad nędzą swoją—ślepoty kulturalnej. Egoizm tedy narodowy, rozwinięty przez Endecję miast stać się pancerzem ochronnym dla narodu, piastującego ideały wolności, pracy i postępu, zamienił się w skorupę ślimaka, zamykając w sobie bezradność. ciemnotę i niemoc—zadowoloną z siebie.

Co gorsza, Demokracja Narodowa nietylko nic uczyniła nic dla rozwoju i podniesienia wewnętrznej wartości szerokich mas społecznych, ale jeszcze tę wartość obniżyła, degradując w oczach ogółu samo pojęcie polskości.

Przeciwstawiając się z zasady wszystkim wielkim falowaniom ducha ludzkiego, w imię swojskiej ciszy i zastoju, pracowała ona nad skojarzeniem tego co polskie, z tym, co bierne, co trwa w spoczynku, co nie chce wiedzieć o świecie i jego zdobyczach.

Kiedy, zapytajmy, Narod. Demokracja wykazała *maximum* wysiłku? — Wówczas, gdy jęła w kraju, *tłumić* rewolucję. A kiedy zapytajmy, jeszcze— zdobyła się na czynną walkę? — Gdy *tłumiła* bojówki socjalistyczne. W ten sposób moglibyśmy dalej śledzić przejawy jej energji: zawsze polegały one na tłumieniu, powstrzymywaniu i gaszeniu cudzej energji.

Imieniem rzekomej samodzielności genjuszu narodowego nacjonalizm zwalczał i wyklinał zarówno pozytywizm, jak socjalizm, modernizmu, jak naturalizm, intelektualizm, jak etyzm i estetyzm. Wszelkie prądy i kierunki myśli obcej były w jego oczach groźbą dla swojskiej niepokalaności.

Nie Mickiewicz, nie Kopernik, nie Staszic i Lelewel stali się, w ideologji endeckiej, przedstawicielami ducha narodowego, ale Pol, Syrokomla i Zaleski, piewcy cnót parafjalnych i malowniczej ciasnoty swojskich horyzontów. Zapomniano, że typ działalności narodowej, typ prawdziwie twórczy i odrębny, przejawia się tylko w skali najwyższego napięcia duchowych sił narodu; indywidualność swą naród utrwala i zakłada na wieki jedynie u granic wysiłku; tylko najwyższe twory ducha noszą na sobie odciśnięte znamiona odrębnoścci narodowej. Indywidualność ducha narodowego widnieje i uderza w zdarzeniach takich jak Konstytucja 3-go maja, pochód Legjonów, żywot Kościuszki, Improwizacja Mickiewicza, Rejtan Matejki, muzyka Chopina. Ogół pospolity szuka jej gdzieindziej; upatruje ją w widoku napoły rozwalonych chat, strzeżonych przez kościół wiejski, moralizowanych przez plebanję i kształconych przez ekonoma. Tam też dopatrzyła się istotności narodowaj grupa polityków wszechpolskich. Ale czyż nie jest to tylka barwa i powierzchowność, którą czas i postęp zetrze?

Ciemnota ludu jest niewątpliwie cząstką naszej rzeczywistości, podobnie jak rzeczywistością historyczną były swary i bijatyki sejmikowe oraz przekupstwa podczas elekcji królów.

Być może, nawet, polityka sejmikowa w takim szczególnym jak u nas obrazie, nie istniała nigdzie, być może, tylko na naszym gruncie się rozwinęła: niemniej nie staje się ona przez swą wyłączność manifestacją duszy lub kultury narodowej; była ona bowiem sama przez się kultury tej zeprzeczeniem; świadectwem jej rozkładu i gnicia.

RUDYARD KIPLING.

PIERWSZY LIST.

Przełożył

JÓZEF POMIRSKI.

Onego czasu, żył, przed lat tysiącami, człowiek Neolityczny. Był to człek pierwotny; mieszkał w grocie i używał bardzo mało odzieży. Nie umiał ani czytać, ani pisać, — i wcale się tym nie martwił, stale bywał zadowolony, z wyjątkiem chwil, kiedy był głodny. Nazywał się Tegumai Bopsulai, co znaczy: Człowiek - nie - czyniący - bez - potrzeby - kroku; my jednak zwać go będziemy poprostu Tegumai.

Imię żony jego brzmiało Teshumai Tewindrow, co znaczy: Jejmość - czyniąca - wiele - wiele - pytań; my zaś, dla pośpiechu mówić będziemy Teshumai. Miała ona córeczkę imieniem Taffimai Metallumai, co się przekłada: Mała - osóbka - bez - wychowania - i - potrzebująca - rózgi; my zwać ją będziemy Taffy. Była ona najukochańszym stworzeniem Tegumai Bopsulai a zwłaszcza i osobliwie swej Mamy; o połowę mniej otrzymywała rózeg, niżby należało, i wszyscy troje byli bardzo szczęśliwi.

Skoro tylko Taffy posiadła sztukę chodzenia, jęła towarzyszyć wszędzie swemu Papie, Tegumai, i nieraz wracali do groty dopiero znagleni głodem; wtenczas Teshumai Tewindrow wołała: „Gdzież was nosiło licho, aby się tak w błocie unurzać? Doprawdy, mój Tegumai, nie więcej masz rozumu od mej Taffy”.

Razu pewnego, Tegumai Bopsulai poszedł przez Bobrową Łąkę na ryby, z hakiem w ręku; wraz z nim poszła też Taffy. Hak Tegumai zrobiony był z drewna i najeżony na końcu zębami rekina; niestety, po złowieniu jednego zaledwie karpia, hak pękł, zbyt mocno uderzając o dno rzeki. Znaleźli się oboje daleko, daleko od swego domu (mając śniadanie przyniesione w koszyczku, rozumie się), a Tegumai zapomiał zaopatrzyć się w haki na zmianę.

— A to ładna zdobycz! krzyknął Tegumai. Pół dnia mi zejdzie, nim to naprawię.

— Twój wielki czarny hak jest w domu, — rze-

To też Demokracja Narodowa, akcentując objawy życia współczesnego najbardziej nawet w społeczeństwie rozpowszechnione, zgarniając w sieci swej ideologji to, co najliczbniejsze, co najpospolitsze, co się najszerzej rozkłada i pleni, nie sięgnęła, nie wzniosła się do poziomu, na którym pracują w narodzie siły twórcze, o indywidualności jego rozstrzygające. Prawdziwe żywioły genjuszu narodowego zostały po za jej niewodem. Skupiając uwagę na postaci Mickiewicza, na twórczości jednego człowieka, doznajemy niezachwianej pewności, że sercem i ustami jego przemówił ból i tęsknota całego miljona ludzi; gdy natomiast przeniesiemy uwagę na obóz Narodowej Demokracji, choćby w okresie jej rozkwitu, przekonamy się że w obrębie jej—wprost odwrotnie: miljon nawet ludzi nie wyraża ani jednego dążenia, ani jednej tęsknoty, ani jednego bólu na miarę Fidjaszowej piersi.

Egoizm i upór w duszy Krzysztofa Kolumba stanowił o odkryciu nowej części świata. Jego egoizm był egoizmem idei twórczej, żądnej przejawienia się w czynie. Natomiast egoizm Napoleona III przyprawił Francję o klęskę pod Sedanem i zredukowanie jej polityki globowej do ochrony własnych posiadłości. Egoizm jego, to był egoizm karła, który małość duszy osłaniał symbolami rzeczy potężnych.

Czym zaś w rezultacie był ów egoizm, zaszczepiony na pniu narodowym przez Demokrację wszechpolską? Jeżeli weźmiemy go w formacji zupełnie skończonej, tak jakim przedstawiał się jeszcze do niedawna, to wypadnie go nazwać egoizmem niedołęstwa zbiorowego; niedołęstwa, które samo siebie poczytuje, jako cnotę i chlubę narodową. Niedolęstwo kulturalne, w sobie rozkochane,—oto ów nasz słynny egoizm narodowy.

Wart on jest tyleż właśnie, co przeszłość polska: nie ta przeszłość „wielka i święta", która się rwała do miecza w obronie praw człowieka, ale ta która się pod gruzami upadku swego pogrzebała, a którą pokolenia przyszłe, szczęśliwsze, przeżywać będą kiedyś jako niewiarogodny sen hańby i zgrozy. Bo egoizm ów nie był dumną i przeświadczoną o swej wartości wewnętrznej samowiedzą, sięgającą po zadania przyszłości, lecz pychą przez wieki minionego rozkładu przekazaną.

Egoizmu narodowego przeto kultywować jako czynnik samoistny nie ma potrzeby. Uprawiajmy tylko glebę rzeczywistych wartości narodowych: niećmy ogniska oświaty; bądźmy pracowici i oszczędni; zakładajmy bibljoteki i czytelnie; opanujmy handel i przemysł; podźwignijmy pracę na roli! Gdy to uczynimy, egoizm urośnie w nas z poczucia dumy na podstawie dokonanych zdobyczy. Będzie to atoli hojny i wspaniałomyślny egoizm świadomej swych zadań i środków kultury, egoizm, co równie szczodrze obdziela ludzkość, jak z niej czerpie.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

W chwili obecnej toczy się pomiędzy W. Brytanią, Japonią i Stanami Zjedn. Amer. Półn. serja rokowań pierwszorzędnej wagi. Rezultatem tych zabiegów jest świeżo zawarty traktat anglo-japoński i projekt stałej umowy rozjemczej pomiędzy W. Brytanią a Stanami Zjednoczonymi, projekt, którego realizacja jest już kwestją krótkiego czasu.

Odkładając na potym szersze omówienie ugody anglo-amerykańskiej, musimy tutaj podkreślić, że jest ona wielkim tryumfem pacyfizmu, wielkim tryumfem rozumu i postępu i zarazem wielkim krokiem kultury anglo-saskiej ku hegemonji nad światem. Olbrzymia potęga finansowa Republiki zaantlantyckiej wespół z niezmierzonymi wpływami Brytanji wzrośnie do niewidzianych jeszcze w dziejach rozmiarów.

Garść zbuntowanych kolonistów angielskich, po stu latach niebywałego rozkwitu i tryumfalnej na wszystkich polach ekspansji, wyciąga dziś dłoń do metropolji, z którą, poprzez wszystkie zatargi, zachowała żywe i ścisłe pokrewieństwo.

Obie strony równą ztąd odniosą korzyść. Bezpieczna od Zachodu, może W. Brytanija zająć się ze zdwojoną energją sprawami swymi na morzu Niemieckim, wzmacniając *home fleet* siłami zbytecznej już teraz floty wojennej atlantyckiej.

---

kła Taffy. Pozwól mi pobiec do groty i wziąć go od Mamy.

— Za daleko na twe krótkie, grube nożęta,—odparł Tegumai. A przytym, mogłabyś wpaść w bagno bobrowe i utonąć. Trzeba się pogodzie mężnie ze swym przykrym losem.

Siadł i ujął woreczek, uszyty ze skór, pełen żył renich i pasów rzemiennych, okruchów wosku tudzież sopli żywicznych, i zabrał się do naprawy haka. Taffy siadła także, stopy zanurzyła w wodzie, brodę podparła dłonią, i zozpoczęła usilnie rozmyślać. Po pewnej chwili, rzekła:

— Wiesz, Papo, to djabla rzecz, iż żadne z nas nie potrafi pisać! Gdybyśmy potrafili, moglibyśmy posłać list z prośbą o hak.

Taffy, — odeprze Tegumai,—ileż razy przestrzegałem cię, abyś nie wyrażała się w ten sposób. Djabla — się nie mówi; jednakowoż, byłaby to rzecz bardzo wygodna, gdyby można do domu napisać.

W tej chwili właśnie przechodził brzegiem rzeki Cudzoziemiec, należał atoli do jakiegoś dalekiego plemienia, do szczepu Tewarów, i nie rozumiał ani słowa z mowy Tegumai. Przystanął u brzegu i uśmiechnął się do Taffy, albowiem miał on także małą córeczkę w domu. Tegumai dobył z ciężkim sercem zwój żył renich z mieszka i rozpoczął naprawiać hak.

— Zbliż się, zawołała Taffy. Czy wiesz, gdzie mieszka moja Mama? Lecz Cudzoziemiec odrzekł: „Hum!" albowiem, jak powiedziano, pochodził ze szczepu Tewarów.

— O, losie! — wykrzyknęła Taffy, tupiąc nogą o brzeg, gdyż w tej chwili spostrzegła cały korowód karpi, płynących pod prąd właśnie wtenczas, gdy ojciec jej nie mógł posłużyć się hakiem.

— Nie naprzykrzaj się starszym, — ozwał się Tegumai, tak pochłonięty robotą, iż się nawet nie odwrócił.

— Ja wcale się nie naprzykrzam, odrzekła Taffy; chce tylko, aby spełnił rzecz, o którą go proszę, a on mnie nie chce zrozumieć.

— No, to nie nudź - że przynajmniej mnie — rzecze Tegumai, nie przerywając zajęcia i mając usta pełne pociętych pasków rzemienia.

Cudzoziemiec, czystej krwi Tewara, siadł tymczasem na trawie, Taffy zaś palcem pokazała mu na to, co czynił jej ojciec. Cudzoziemiec pomyślał: „Zdumiewające dziecko! Tupie nóżką i pokazuje mi język. Snadź musi to być córka tego szlachetnego wo-

W krótkim więc czasie oś polityki państw zainteresowanych wykonała znaczy półobrót: W. Brytanija, zamiast tradycyjnego wroga na granicy afgańskiej, ujrzała przed sobą groźne niebezpieczeństwo niemieckie, przeciw któremu okręty admirała Togo i piechota Ojamy nie wiele mogłaby pomódz; ze swej strony Japonja, wsparta już mocno na lądzie azjatyckim, znalazła się twarzą w twarz z promieniującą na cały ocean ekspansją Jankesów.

Zamierzona ugoda anglo-amerykańska dokonała reszty. Rewizja traktatu z d. 12 sierpnia 1905 stanęła na porządku dziennym, tymbardziej, że przedstawiciele Stanów kładli zrozumiały nacisk, aby nie opóźniać umowy rozjemczej z Waszyngtonem. *Forcign Office* w Londynie zawarł z Japonią d. 13 lipca nowy traktat na przeciąg 6 lat, którego najwybitniejszym rysem jest redukcja zobowiązań, wyłuszczonych w §2 dawniejszej umowy, za pomocą następującego zastrzeżenia:

§ 4. Gdyby jedna ze stron kontraktujących zawarła ogólną umową rozjemczą z trzecim mocarstwem, wynika ztąd, że niniejszy traktat nie może w żadnym razie zobowiązać państwa, które taką umową zawarło, do kroków wojennych przeciw mocarstwu, związanemu z nim wspomnianą umową. Poza tą restrykcją, wyraźnie faworyzującą Stany Zjednoczone, nowy traktat zachował dawne brzmienie.

Zarazem postarano się usunąć poważny szkopuł, grożący nowej ugodzie, w postaci przymierza anglo-japońskiego w dotychczasowej jego formie. Usunięcie możliwości starć zbrojnych pomiędzy Anglją i Ameryką nie pociąga za sobą bynajmniej pacyfikacji stosunków, jak wiadomo, ostatnimi czasy poważnie naprężonych. Należało więc zmienić w sposób odpowiedni pewne punkty przymierza anglo-japońskiego, co też zostało dokonane d. 13. lipca r. b.

Dzieje tego przymierza są krótkie i wymowne. D. 30 stycznia 1902 dyplomacja brytańska, mając na względzie obronę swoich interesów na Dalekim Wschodzie wobec rosnących uroszczeń rosyjskich, zawarła w Tokio umowę, której § 3 obiecywał czynną pomoc z jej strony na wypadek, gdyby Japonji przyszło mieć do czynienia z koalicją dwóch mocarstw. Piorunujący tryumf Japonji w r. 1901—5 był zarazem wspaniałym zwycięstwem angielskim; pod wrażeniem tego sukcesu, nie czekając newet, aż upłynie tarmin przymierza, d. 12 sierpnia 1905 Anglja śpieszy odnowić je i zacieśnić; obiecując tym razem (§ 2) zbrojną ze swej strony pomoc w każdej potrzebie, bez najmniejszych zastrzeżeń.

Niebawem jednak zmieniły się warunki. Anglja weszła z Rosją w porozumienie skutkiem czego przyjaźń japońska stała się częściowo zbyteczną, ze swej zaś strony Japonja rozpoczęła ze Stanami Zjednoczonymi niebezpieczną bardzo grę na tle emigracji żółtej i walki o hegemonję na Oceanie Spokojnym.

Nowy traktat jest zatym cząściowym rozluźnieniem węzłów anglo-japońskiej przyjaźni, co jednogłośnie zaznacza prasa polityczna całego świata.

„Pewne koła utrzymują — powiada *Temps* paryski — że jest to koniec anglo japońskiego przymierza. Wniosek przesadny. „Rozluźnienie" lub „redukcja" byłyby ściślejszym określeniem"...

Walka o ziemię.

(Z powodu dyskusji w sprawie wychodźtwa polskiego)

II.

(Dokończenie).

Parcelację w Galicji w olbrzymiej jej części przeprowadza spekulacja, która rozdrabnia folwarki na cały szereg drobnych parceli, gdyż te właśnie przynoszą spekulantowi największy dochód, W ten sposób zaś *układ własności ziemskiej, chłopskiej w szczególności*, ten układ, który u nas w tylu względach wymaga gruntownej, pieczołowitej naprawy, *zależy od „dobrej woli spekulanta, który go „naprawia" wedle swego widzimisię*, a raczej wedle swego zysku, dochodzącego do 100%. a nie spadającego z reguły niżej 30%.

Tym smutnym stosunkom może zapobiedz jedynie [1]) instytucja gospodarczo-parcelacyjna krajowa, do którejby należało zatwierdzenie *każdego* planu parcelacyjnego, którąby zajęła się racjonalnym kredytem nabywczym dla chłopa. Chłop bowiem kupuje na parcelacji ziemię, z reguły za zarobione pieniądze na *emigracji zamorskiej*, ale także i na Saksach, w miastach krajowych etc. *Miejscowe* zarobki z reguły nie wystarczają chłopu do nabycia choćby jaknajskromniejszego skrawka ziemi, To jest ów istotny związek między parcelacją a emigracją, bez której pierwsza nie mogłaby się tak rozwinąć, jak się rozwinęła dzisiaj.

---

dza, który jest tak potężny, że nie raczy zwracać uwagi na mnie". Tak, iż uśmiechnął się jeszcze uprzejmniej, niż wprzódy.

— Teraz, ozwała się Taffy, — chcę, abyś poszedł do mej Mamy, ponieważ nogi twe są dłuższe, niż moje i nie utoniesz w bobrowym stawie. Zażądasz innego haka dla połowu ryb: tego z czarnym trzonem, co wisi nad kominem.

Cudzoziemiec, a był to członek rodu Tewarów, pomyślał sobie: Co za nadzwyczajne dziecko! Porusza rękoma i woła coś do mnie; nie rozumiem wszakże ani słowa z tego, czego żąda; lękam się bardzo, aby ów śmiały wódz, Człowiek-odwracający-się-do-gości tyłem, nie rozgniewał się na mnie".

Wstał więc i, oddarłszy duży płat kory z pnia brzozowego, ofiarował go Taffy. Uczynił to w tym celu, aby okazać, że serce jego jest tak białe, jak kora brzeziny i nie żywi złych zamiarów; ale Taffy nie pojęła jak należy.

— Ah! rzekła: — wiem teraz. Żądasz adresu mieszkania mej Mamy. Nie umiem pisać, ale umiem rysować obrazy. bylem tylko miała coś ostrego do drapania. Użycz mi, proszę, tego zęba rekinowego, który widzę w twoim naszyjniku.

Cudzoziemiec (ze szczepu Tewarów) nie odrzekł nic, więc Taffy wyciągnęła rączką, sięgając po naszyjnik złożony z ozdobnych kamyków, ziarn i zębów rekinowych, nanizanych na sznur.

Cudzoziemiec (prawdziwy syn Tewarów) pomyślał: „Cóż za niezmiernie zdumiewające dziecko! Albowiem ząb ten jest zaczarowany, i mówiono mi zawsze, że każdy, ktokolwiek go dotknie bez mego zezwolenia, natychmiast ulegnie rozdęciu, a potym pęknie z hałasem. A oto dziewczę to nie wzdyma się i nie rozpęka; ów zaś wódz poważny, Człowiek - zajęty - pilnie - swą - robotą, nie zdradza obawy o nią najmniejszej. Wypada tedy być podwójnie uprzejmym".

Dał przeto ząb rekinowy Taffy; ona zaś legła poziomo na brzuszku, piętami do góry, aby zrobić rysui jęła mówić:

— Teraz tworzyć będą bardzo ładne obrazki! Pozwalam ci spoglądać z poza mego ramienia, ale się nie śmiać. Naprzód, zrobię Papę łowiącego ryby. Nie jest zupełnie podobny, lecz Mama pozna gdyż hak narysowałam całkiem złamany. Zaraz zrobię drugi hak, o który mu chodzi, ten z czarnym trzonem. Tak wygląda, jakby wyrastał z pleców Papy, ale to dlatego, iż ząb omknął się w mych palcach i płat kory

Dr. Benis w swym referacie o emigracji, wygłoszonym na IV Zjeździe prawników i ekonomistów polskich, oblicza czysty dochód zarobków emigracji amerykańskiej, który wpływa do kraju, na 15 miljonów z ostatnich trzech lat.

O ile tedy emigracja nie przybiera form osadniczych, o ile chłop polski wraca napowrót do kraju, to suma pracy wyłożonej przezeń za granicami kraju nie idzie wyłącznie na pomnażanie kultury obcej, ale także na pomnożenie stanu posiadania ludu naszego, który za pieniądze tam zapracowane, kupuje w kraju ziemię, a z tem i możność pracy i życia we wsi, u siebie.

Skoro zaś emigracja przybiera formy osadnicze, to kraj traci materjał chłopski, sumę jego pracy, traci na ludności, a ten odpływ ze wsi jest wtedy nienaturalny, bo pomniejszający nie tylko posiadanie ludu, ale i narodu całego. Wtedy chłop polski pomnaża tylko kulturę obcą. Stan ten byłby jeszcze wtedy znośny, gdyby na wsi polskiej *już* zabrakło ziemi, skutkiem doszczętnej parcelacji majątków średnich i wielkich; tak jednak nie jest jeszcze (mimo 40—50 tysięcy morgów rocznej parcelacji[1]); zresztą, gdyby nawet chłop polski nie mógł już powiększyć posiadania swego, do czego jeszcze daleko, odpływ w kierunku przemysłu, inteligencji zawodowej etc., jest dla całokształtu stosunków polskich bardziej pożądanym, niźli utrata zupełna na rzecz ziemi i kultury obcej chłopa, zostającego stale za morzem.

Na szczęście emigracja zamorska jest u nas w znacznej części przejściowa; [2]) znaczy się chłop wraca do kraju, z którego wyjechał, chcąc zdobyć gotówkę na dokupno ziemi i cel swój w mniejszej lub większej mierze osiąga.

Jest jeno zadaniem polityki agrarnej, owo nabycie ziemi na parcelacji mu ułatwić, ruch cały zwrócić na tory gospodarczo pożądane, o czem mówiłem wyżej.

Natomiast zwrócenie polskiego chłopa na stałe ku „krainom zamorskim", uważam za szkodliwe, bo ze stratą polskiego posiadania w ziemi i materjale ludzkim połączone, a prócz tego za przedwczesne, gdyż w każdym razie ziemi jeszcze jest dość w kraju, by przy energji gospodarczej nawet najdrobniejszy chłop mógł się jej dorobić i zdobyć się na własność.

O ile polityka agrarna uczyni wszystko, co do niej należy, by chłopu proces zakupna ziemi uczynić jak najmniej uciążliwym, i w jego możności gospodarczej leżącym, ruch emigracyjny *powrotny*, więc nie osadniczy, połączony z odpowiednio pokierowaną parcelacją, stanie się siłą rewolucyjną, jeśli chodzi o stosunek układu własności ziemskiej, polskiej w szczególe.

*
* *

Niewątpliwie więc ma rację ks. Anusz, mimo, że zdania swego naukowo nie uzasadnia, widząc w dzisiejszej organizacji kredytu nabywczego bardzo ujemny objaw gospodarczy i ryzykując pogląd „że kraj nie zyskuje, gdy chłop *drogo* za ziemię płaci". Z naszych wywodów wynikło to także. Lecz pojęcie „drogo" poddaliśmy analizie, doszliśmy do wniosków, że do pewnych rozumnych granic chłop rzeczywiście może płacić *więcej*, niźli by to wynikało z przedsiębiorczej tylko kalkulacji, że jednak jest obowiązkiem kraju, by przez odpowiednią regulację stosunków parcelacyjnych i emigracyjnych proces dokupna ziemi zwrócić na tory racjonalne, dalekie od krętych ścieżek dzikiej spekulacji agrarnej. Niewątpliwie więc i p. Kurnatowski zbyt optymistycznie ujął stosunki w tej mierze, *bezwzględnie* zalecając wychodźtwo sezonowe i zarobkowe, gdyż ono może być i jest gospodarczo pożądanem *jedynie* pod warunkiem: organizacji ruchu parcelacyjnego przedewszystkiem, a także i emigracyjnego. Chodzi bowiem o to, aby za pieniądze zarobione w Ameryce, mógł chłop możliwie korzystnie i racjonlnie nabyć grunt. Niestety, w Galicji dziś jeszcze tę sposobność paczy nieodpowiedzialnie grasujący spekulant parcelacyjny i ajent emigracyjny.

Chłop polski przetrwa jedno i drugie, nawet bez pomocy czynników zewnętrznych, to pewna; dał tego dowody, bądź co bądź zwycięsko wychodząc z sytuacji czasem bez wyjścia, w jaką go wpędzał spekulant, ajent, wierzyciel, podatek etc.

Ale stan ten zawdzięcza polska ziemia i polskie

---

[1]) porównaj obrady IV Zjazdu prawników i ekonomistów polskich nad referatem d-ra Grabskiego.

[2]) Patrz między innymi artykuł Józefa Okołowicza w „Prawdzie", zesz. 9.

---

nie jest dość wielki. Oto hak, który należy przynieść; teraz robię swój własny wizerunek, siebie samą rzecz całą tobie wykładającą. Włosy moje nie sterczą tak prosto, jak je narysowałam, lecz w ten sposób łatwiej je zrobić. Wreszcie, narysuję ciebie. Nieznaczy to, abyś, tak jak wyglądasz, nie wyglądał ładnie, ale na obrazku ładnym cię zrobić niepodobna. Nie trzeba się więc gniewać. Czy nie jesteś o to zagniewany?

Cudzoziemiec uśmiechnął się. Myślał on sobie: „Jakaś wielka bitwa gdzieś tu przygotowywa się zapewne; i to zachwycające dziecko, które zabrało mi ząb rekinowy a nie wzdyma się ani rozpęka, poleca mi wezwać na pomoc całe plemię tego wielkiego wodza. Z pewnością musi to być wielki wódz, gdyż wcale nie zwraca na mnie uwagi.

— Patrz,—ciągnęła Taffy, rysując dalej z pilnością i nie bez mnóstwa fałszywych kresek, — oto teraz narysowałam ciebie i do ręki dałam ci hak swego Papy, aby ci przypomnieć, że masz go przynieść. Teraz pokażę ci, w jaki sposób odnaleźć miejsce zamieszkania Mamy. Idzie się ciągle prosto, aż do łączki, na której stoją dwa drzewa. (Tu oto masz drzewa.) Potym wchodzi się na wzgórze (oto jest wzgórze); a potym spotyka się staw pełny bobrów. Bobrów nie rysuję w całości, bo nie potrafię rysować bobrów; pooznaczałam tylko ich głowy, gdyż widzi się tylko głowy, okrążając staw. Ale nie wpadnij do wody! Nasza Grota leży tuż za stawem. Nie jest ona naprawdę taka wysoka jak wzgórze, ale cóż, kiedy nie umiem rysować rzeczy zbyt drobnych. Tu przed Grotą, to jest moja Mama. Jest bardzo ładna; jest najładniejsza ze wszystkich Mam, jakie kiedykolwiek były; jednakże nie obrazi się, iż uczyniłam ją tak brzydką. Będzie ucieszona, widząc, jak umiem kreślić. Ażebyś nie zapomniał, narysowałam hak, potrzebny Papie, *na zewnątrz* Groty. W rzeczywistości, znajduje się on *wewnątrz*; ale skoro pokażesz rysunek Mamie, da ci natychmiast. Nakreśliłam ją z otwartymi rękoma, bo wiem, że rada będzie cię widzieć. Nieprawdaż, jaki piękny rysunek? Jeżeliś nie pojął dobrze, to wytłómaczę ci raz jeszcze.

Cudzoziemiec spojrzał na rysunek i mocno pokiwał głową.

Rzekł sam do siebie: „Jeżeli nie odszukam plemienia tego wielkiego wodza, będzie on zabity przez wrogów, którzy skradają się zewsząd ku niemu z oszczepami. Widzę teraz, dlaczego wielki wódz udaje, że mnie nie dostrzega! Obawia się, aby nieprzyja-

gospodarstwo specyficznie chłopskiej zaciętej walce o ziemię, tej walce, w której chłop wytęża wszystkio siły, by nie uledz, gdyż równałoby się to jego zagładzie zupełnej.

Jest to jednakże walka nie o ziemię tylko, ale o ziemię *polską*, i pan Kurnatowski ma zupełną rację, twierdząc, że nasz chłop woli parę morgów we wsi swojej, niźli kilkadziesiąt za morzem, i od siebie dodamy, że wtedy tylko pozostaje tam na stałe, gdy w domu u siebie nie ma możności, ani nadziei pozyskania ziemi na starość.

Jednakże na tę walkę chłopa polskiego o ziemię, jako jedyny moment akcji liczyć nie można, jaśli się nie chce dojść do nihilistycznego laisser-fair'yzmu w sprawach gospodarczych, który, jeśli chodzi o parcelację, sprawił, że do dziś dnia rozparcelowano szereg majątków ziemskich w Galicji bez planu, dorywczo, zaostrzając niekiedy kwestję agrarną, zamiast stworzyć i powołać do życia samodzielne i racjonalne chłopskie jednostki gospodarcze.

Bo pamiętać musimy, że położenie gospodarcze chłopa polskiego, w Galicji zwłaszcza, jeszcze dziś nie osiągnęło tego stopnia rozwoju, w którym moglibyśmy mówić, ogólnie oczywiście, o wyższości chłopskiej własności ziemskiej nad średnią i wielką. Niewątpliwie nauka ekonomiczna [1]) doszła w pewnej jej części do rerultatów, o których napomyka p. Kurnatowski, że „*drobna* własność ma pewną przewagę nad *wielką*" i że suma płodów rolniczych wydobyta z hektaru pierwszej przewyższa sumę płodów rocznych, wydobytych z hektaru drugiej, ale dzieje się to wtedy, jeśli tych plusów, łączących się głównie z uprawą *samoistną* roli przez chłopa, nie osłabi szereg innych, równie ważnych czynników, jak w pierwszym rzędzie brak oświaty ogólnej i *zawodowej*, odłużenie chłopa etc.

Za gotówkę, zebraną z zarobków amerykańskich i innych, chłop ziemi w całości nie kupuje nigdy. Przeszło 70 prc. kredytu udzielały instytucje, pośredniczące w parcelacji, chłopu na zakupno ziemi, za którą w gotówce składał 20—30 prc. ceny kupna. Znam wypadki, gdzie gotówka nie przekraczała 10 prc. tej ceny. W wypadkach takich chłop pracuje już nie dla siebie i ziemi, ale dla wierzycieli—lichwiarza najczęściej.

W i ę c g ł o s z ą c w i e l k i e n i e p r z e m i j a j ą c e z n a c z e n i e d l a c h ł o p s t w a p o l s k i e g o i p r z y s z ł o ś c i g o s p d a r c z e j k r a j u w y c h o d ź s t w a z a m o r s k i e g o, p o d e j m u j ą c t e h a s ł a, m u s i m y z a r ó w n o p a m i ę t a ć, i ż o b o w i ą z u j ą o n e d o r a c j o n a l n e j o r g a n i z a c j i t y c h w s z y s t k i c h c z y n n i k ó w g o s p o d a r c z y c h i k u l t u r a l n y c h, o d k t ó r y c h z a l e ż y t a k a l u b i n n a r e a l i z a c j a t y c h h a s e ł.

Same przez się, siły twórczej one mieć nie mogą, jak wogóle w życiu gospodarczem zjawiska poszczególne są z sobą w związku mniej lub więcej ścisłym; dopiero wraz z akcją, o której wspomniałem, akcją organizacyjną ruchu parcelacyjnego i emigracji powrotnej, jak również kredytu włościańskiego, należą one do żywotnych sił i wartości istotnej dla przyszłości gospodarczej kraju.

Dr. Leon Biegeleisen.

[1]) Patrz pracę d-ra Jana Rozwadowskiego o „Parcelacji pruskiej".

Listy z Krakowa.

VII.

(XI Zjazd lekarzy i przyrodników polskich)

Zaśpiewawszy *requiem* pozytywizmowi, jako kierunkowi filozoficzno-społecznemu, stajemy się przecież pozytywistami na arenie wartości życiowych. Lekarze, którzy w życiu praktycznym wybijają się na stanowiska widoczne, i niewątpliwie przez ogół cenieni są wyżej od jakiegoś tam uczonego przyrodnika, czy filozofa i zjazdom nadają przedewszystkim swoje piętno. Ztąd w nazwie przesunięto przyrodników na plan drugi, a nie wspomniano nawet o filozofach.

Jest to jedną z przyczyn, że przedstawiciele filozofji urządzać postanowili własne zjazdy, dzięki energicznej inicjatywie profesorów Straszewskiego i Twardowskiego. Czy posunie to naprzód ich prace, czy przyczyni się do wytknięcia odrębnego kierunku filozofji polskiej—czas to pokaże. Ta samodzielność dałaby przecież tylko zmianę formalną, gdyby nie pojawiła się na owym przyszłym zjeździe sekcja historyczna filozofji polskiej, gdyby za jeden z tematów nie wzięto mesjanizmu, tego istotnie polskiego i skończonego w sobie systemu, który przecież na szali umysłowości polskiej tak silnie zaważył.

Po za tym życzyć by należało, by filozofja polska przejęła się istotnie zadaniem swym jako syntezy

---

ciele, ukryci w haszczach, nie zauważyli, że daje mi zlecenia. Dlatego snadź obrócił się ku mnie plecyma, by tymczasem to mądre i cudowne dziecię nakreśliło straszny obraz nadciągających niebezpieczeństw. Lecę pędem, aby wołać pomocy u jego plemienia".

Nie pytając nawet Taffy o drogę, puścił się jak wiatr przez burzany, unosząc korę brzozową w ręce; Taffy zaś siadła, uradowana.

— Coś ty tam robiła, Taffy? — spytał Tegumai. Naprawił on swój hak i chwiał nim w powietrzu papatrząc, czy się mocno trzyma.

— Maleńka myśl przyszła mi do głowy, kochany Papo! — odrzekła Taffy. Tylko nie pytaj mnie o nic; zaraz dowiesz się o wszystkim; dopiero będziesz zdumiony! Nie domyślasz się nawet, jaki będziesz zdumiony, kochany Papo! Przyrzeknij mi, że będziesz zdumiony!

— Doskonale! —ozwał się Tegumai. I na nowo rozpoczął połów.

Cudzoziemiec (czy pamiętacie, że pochodził z plemienia Tewarów?) pędził, co siły w nogach, trzymając rysunek w ręce, i ubiegłszy mil parę, najzupełniej przypadkowo, wpadł na Teshumai Tewindrow, rozmawiającą, u progu swej Groty, z gronem innych niewiast Neolitycznych, które zebrały się razem dla spożycia Pierwotnego śniadania. Taffy bardzo podobna była do Teshumai, tak, iż Cudzoziemiec, aczkolwiek był z rodu Tewarów, uśmiechnął się życzliwie i oddał jej powierzony sobie płat kory.

Ta zaś, zaledwie rzuciwszy nań okiem, wydała krzyk przeraźliwy i, jak wściekła, skoczyła do oczu Cudzoziemcowi. Pozostałe niewiasty Neolityczne zwaliły go natychmiast na ziemię, i sześć najcięższych z nich siadło na nim rzędem, jak cebule, gdy tymczasem Teshumai wydzierała mu garściami włosy.

— To, co uczynił ów Cudzoziemiec, równie jest widoczne, jak jego nos pośrodku jego twarzy. Skłuł on po całym ciele mego Tegumai hakami, i tak przestraszył biedną Taffy, że włosy się jej zjeżyły na głowie! Aliści mało mu jeszcze tego: ma czelność przynosić mi przed oczy ohydny obraz, wskazujący jak wszystko to zrobił.

Pokazała rysunek wszystkim niewiastom Neolitycznym, siedzącym cierpliwie na Cudzoziemcu.

— Oto mój Tegumai z ręką złamaną; oto oszczep, który mu się wbija w plecy; oto ktoś rzucający hakiem; oto ktoś inny, ciskający hak z głębi groty; a oto gromada ludzi (były to bobry nakreślone przez Taffy,

nauk i wzięła pod skrzydła swe na zjazdach teorję innych gałęzi wiedzy. Bezdomną jest socjologja, historjozofja, a nawet ekonomja teorytyczna, o której zjazdy prawników i ekonomistów polskich wiedzieć nie chcą, wysuwając zagadnienia bardzo ważne, ale ściśle z praktyką związane, jak na zjeździe ostatnim emigrację i parcelację, a na najbliższym kwestję przemysłu i uprzymysłowienia.

Zjazd XI rozpoczął i zakończał obrady swoje zagadnieniami estetyki, naturalnie w związku z wiedzą o przyrodzie i medycyną. Oddziałała na to niewątpliwie atmosfera estetyzująca Krakowa, a zwłaszcza osoby prezesa J. Nowaka i L. Brunnera.

Prof. Nowak zajmuje się wprawdzie bakterjologją, ale zna się na sztuce, ma u siebie prześliczny zbiór obrazów Wyspiańskiego, którego był serdecznym przyjacielem. Prof. Brunnerowi chemia nie przeszkodziła pisać (jako Sten) bardzo trafnych charakterystyk literackich i przekładać tomów Anatole'a France'a. Ma on za sobą również powieści—może jako grzechy młodości.

Odczyt prof. Romera „o Krajobrazie", wypowiedziany z zapałem wielbiciela piękna w sztuce i z gruntownością badacza-geografa i podróżnika, uwydatniał, że wcześniej i lepiej wykryć potrafiła wielokroć intuicja malarskiej wizji prawa rzeźby krajobrazowej, niż metody naukowe. Gdy uczeni renesansu pogardzali jeszcze tak błahym przedmiotem, jak elementy krajobrazu, to obrazy Tycjana, Perugina, J. A. Kocha, Rembrandta, Ruysdaela i wyprzedzającego ich wszystkich japończyka Hokusai, a wreszcie genjalnego pejzażysty angielskiego Turnera, uczyniły z malarstwa w kierunku zarówno syntetycznym, jak i analitycznym godnego poprzednika nauki. Podniósłszy zasługi Staszica i Kołłątaja dla nauki o krajobrazie, zaznaczył prelegent panowanie dzisiejszej teorji penepleny [1]) i zakończył życzeniem, aby geografja na obecnych swych dostojnych wyżynach, przyjmowała wybranych tylko pracowników.

Dr H. Święcicki z Poznania mówił o Estetyce w medycynie; wyszedł z założenia, że skoro zdrowy człowiek jest żywym arcydziełem, zadaniem lekarza jest czuwać nad jego całością, odejmować chorobie jej straszliwy charakter, oprzeć się na współczuciu i przywracać zdrowie i szczęście.

Bardzo piękna teka, obejmująca w 12 barwnych autolitografjach, wykonanych przez pierwszorzędnych artystów, widoki Krakowa, dostrajała się jako podarek dla uczestników Zjazdu do owej estetycznej oprawy naukowyoh obrad.

Nie kuszę się o streszczenie bodaj wniosków, powziętych w 16 sekcjach i licznych podsekcjach przez uczestników Zjazdu. Dodaję zaś słów kilka z obrad sekcji Zdrowia publicznego, jako jej uczestniczka.

Sekcja poruszyć się starała całość zagadnień z zakresu hygjeny publicznej. Zajmowała się przeto hygjeną szkolną, śmiertelnością niemowląt (osesków) i opieką nad podrzutkami po miastach, omawiała sprawę miast-ogrodów i regulacji miast, jako aktualną w tej chwili dla Krakowa z powodu gmin przyłączonych, traktowała ginekologję jako dział zdrowotności publicznej, sprawę kanalizacji, wyjaławiania wody, zarazków, nadzoru nad żywnością i t. p. Obszerne obrady poświęcono sprawie zwalczania gruźlicy, sprawie która weszła już na drogę akcji publicznej, popieranej przez władze, a przez bliskość Zakopanego specjalnie dla Zjazdu była żywotną. Odczyt i specjalna wystawa balneologiczna uwydatniały sprawę zdrojowisk krajowych i skłoniły sekcję do powzięcia uchwały, aby lekarze kierowali swoich chorych do zakładów krajowych, które są tak liczne i różnorodne, że zastąpić niemal mogą zagraniczne „bady" i „wody".

Nowością prawie na zjeździe lekarzy było poważne zajęcie się sprawą alkoholizmu. Zaniedbana ta do niedawna dziedzina wytworzyła wprawdzie już cały splot badań, wkroczyła w różnorodne gałęzie wiedzy przyrodniczej, lekarskiej i społecznej, przepoiwszy uprzednio alkoholem--trucizną wszystkie przejawy życia. Lekarze do niedawna przecież wiedzieć o niej nie chcieli. Zjazd rozpocząć przeto musiał od podstaw, a zatym od zobrazowania stanu opilstwa we wszystkich dzielnicach Polski. Okazało się przy tym, że praca Towarzystw wstrzemięźliwości najlepej zorganizowana jest w Poznańskim, że w Galicji zabiegi Tow. Eleuterji wyraziły się w niższej konsumcji wina i piwa we Lwowie i Krakowie. Stwierdzono także dla Królestwa wzrost pijaństwa po r. 1905 i ujemne wyniki alkoholowego monopolu. Zaznaczyć również warto, że nie było wśród uczestników sekcji zwolenników umiarkowanego, picia: ogół stanął na stanowisku abstynentów t. j. zwalczania alkoholizmu przez zupełną wstrzemięźliwość.

Sekcja zdrowotności publicznej postanowiła ze względu na różnorodność kwestji i zadań, oraz ko

[1]) Dążenie do doprowadzenia każdego krajobrazu do lekko falistej linji.

---

w samej rzeczy, atoli, podobne nieco do ludzi) osaczająca Tegumai. O! zgrozo!

— O! zgrozo!— wybuchnęły niewiasty Neolityczne.

Wślad za tym, napełniły szlamem włosy Cudzoziemca (co go zdziwiło niepomiernie), i jęły bić w bębny na trwogę; niebawem zbiegli się wszyscy ojcowie szczepu Tegumai, zaklinacze, wojownicy i bonzowie: ci ostatni postanowili, przed ucięciem głowy Cudzoziemcowi, zaprowadzić go aż ku rzece, aby pokazał, gdzie schowana została biedna Taffy.

Cudzoziemiec już od chwili czuł się nieszczególnie. Włosy pozlepiały mu się od błota; tarzano go wzdłuż i wpoprzek po ostrych kamieniach; siadano mu na grzbiecie, po sześć osób naraz; łomotano go i duszono aż do utraty tchu, i, aczkolwiek nie rozumiał języka, jednakże niemal dosłownie pojął jedną rzecz: przezwiska, którymi darzyły go kobiety Neolityczne, nie były dlań pochlebne. Wszelako nie rzekł ani słowa aż do tej chwili, kiedy zgromadziło się całe plemię Tegumai, a wtenczas powiódł ich na brzeg rzeki Wagai, gdzie znaleźli Taffy wijącą wianki z astrów, i Tegumai łowiącego karpie naprawionym hakiem.

— O! szybko biec musiałeś! —zawołała Taffy. Ale pocóż taka chmara ludzi? Papo drogi, oto moja niespodzianka. Czyż się nie dziwisz?

— Owszem, dziwię się bardzo; lecz będzie to już koniec naszego rybołóstwa, na dzisiaj. Rzecz to niepodobna do wiary, Taffy, ale biegnie tu całe nasze dzielne, piękne plemię, Taffy.

I była to prawda.

W tej chwili Teshumai wysunęła się naprzód i pochwyciła Taffy w uścisk namiętny; atoli Wielki Wódz plemienia Tegumai ujął Teshumai za pióra na czubie głowy i potrząsnął nim surowo.

— Wytłomacz! wytłomacz! — wrzeszczał cały tłum.

— Puść mój czub,—odparł Tegumai. Co was opętało? Czy nie można haka złamać, aby cały lud nie zwalił ci się na zaraz głowę? To moja sprawa.

— Z tym wszystkim, ozwała się Taffy,—nie przynieśliście nawet haka z czarnym trzonem. Lecz czemuż to w tak okrutny sposób obeszliście się z moim usłużnym Cudzoziemcem?

Stłamszono go tak, że aż oczy wyszły mu na wierzch. Zaledwie zdołał usta otworzyć i palcem wskazać Taffy.

— Gdzie są owi złoczyńcy, którzy cię skłuli

nieczność współdziałania ze specyjalistami z poza lekarskiego świata zwoływać oddzielne zjazdy hygienistów. Na zjazdach tych specyjalna sekcja omawiać ma zagadnienia alkohologji. Do zjazdów hygienicznych dołączona ma być również za przykładem zagranicy dziedzina demografji. Pocieszająca to dla nas nielicznych demografów nadzieja.

Zbytecznym byłoby dodawać dla czytelników moich wiadomości o wielkiej liczbie 1300 uczestników, o udziale rusinów, czechów, chorwatów, rosjanina prof. Bechtierewa i składanych przez nich pozdrowieniach o powitaniach ze strony ciał uczonych i i. p. Uczyniły to już dzienniki. Wśród tych naukowych korporacji nie było jednak powitania ze strony Tow. Naukowego w Warszawie, a przecież, o ile wiem był delegat tegoż w osobie p. Tura. Czemu przypisać ten brak kurtuazji ze strony gościnnych krakowian?

D-r Z. Daszyńska-Golińska.

BADANIA NAUKOWE.

Człowiek i Cywilizacja.

(Nauki o cywilizacji cz. II-ga p. E. Majewskiego.)

(Dokończenie)

W ten sposób kończymy ze sprawą życia w cywilizacji i przejdziemy do spraw innych, przedewszystkiem zaś—do skutków sprawy interfizjologicznej, mówienia.

Język wyznacza, zdaniem p. M., już fizyczne granice psychiczności, albowiem, jak wiadomo z I części, całością jest naród lub lud; język posiada prawa fonetyczne, które działają z biologiczną koniecznością, a więc żyje, rozwija się, niekiedy umiera. Pomimo niezwykle doniosłego znaczenia mowy, jako łącznika społecznego, nie wystarczy ona jednak do wytłumaczenia procesu rozwoju człowieka—brak równowagi pomiędzy stroną fizyczna a psychiczną człowieka wymaga pewnej pomocy dla tej pierwszej, tym się też tłumaczy pojawienie się narzędzi sztucznych. Trafnie podkreśla dalej p. M., że rozwój człowieka tłumaczy „w sposób całkiem naturalny dopiero teorja cywilizacji, oparta na biologicznej teorji rozwoju", lecz niesłusznie gani on „profesorów zoologji i mistrzów ewolucjonizmu" za ich pogląd na rozwój (morfologiczny) człowieka, zapomina bowiem autor, iż stosuje swe wywody do człowieka, zupełnie zróżnicowanego biologicznie, lecz dającego się rozwijać psychicznie. Dlatego też przytoczone tłumaczenie rozwoju człowieka z punktu widzenia społecznego jest racjonalne, natomiast nic niema wspólnego z antropologją lub zoologją. Pomimo kategorycznych zapewnień p. M., nie mamy żadnych danych, jakoby „narzędzia sztuczne wraz z mową wywołały stopniowy rozrost mózgu"; właśnie ta sprawa rozrostu mózgu i jej przyczyny stanowią dla przyrodników jedną z najgłębszych tajemnic natury. P. M. patrzy na człowieka z dzisiejszego punktu widzenia, to też biorąc za podstawę swych rozważań jako materjał społeczny człowieka z jego dzisiejszymi skłonnościami do życia społecznego, nie może pominąć tak potężnych stron psychiki ludzkiej, jak wola i uczucia. Słusznie uzależnia autor wolę do wpływów otoczenia społecznego, podkleślając, że „moja wola płynie z cywilizacji", i stara się udowodnić, że im większe skrępowanie woli jednostek społecznych jakiemiś nakazami silniejszymi i wyższymi, tym większy porządek w społeczeństwie. Na uczucia ludzkie patrzy p. M. też jako na zjawisko społeczne, nowe, nie mające podobnego sobie w przyrodzie. Uczucia ludzkie tym różnią się, według autora, od zwierzęcych, że te ostatnie dziedziczą się, podczas gdy pierwsze są tylko nabyte. O tym, że wychowanie, wpływy otoczenia i t. p. odgrywają w rozwoju uczuć znaczenie niezwykle doniosłe nikt z nas nie wątpi; natomiast trudno pogodzić się się z oświadczeniem autora, że uczucia subtelniejsze nie dziedziczą się, a już chyba każdy przyzna, że wpływ na rozwój jakichkolwiek uczuć może następować ze strony społeczeństwa tylko wówczas, gdy

---

w łóczniami, kochany?—pytała Teshumai Tewindrow męża.

— Nie było nikogo. Jedynym gościem tego ranka był ten oto nieszczęśliwiec, którego chcecie udusić w tej chwili. Czy zaszedł jaki wypadek, lub może wybuchła choroba śród was, o Plemię Tegumai!.

— Przyniósł ten oto człowiek okropny obraz, na którym jesteś cały pokłuty dzidami.

— Eh!... Hm!... Może lepiej będzie opowiedzieć, że to ja dałam mu ów obraz,—szepnęła Taffy.

Wszelako czuła się zakłopotana.

— Ty,—wrzasło plemię Tegumai, jednym jakoby głosem, — Mała - osóbko - bez - wychowania - i - potrzebująca rózgi! Ty?

— Taffy, córuchno,—rzekł ojciec,—opowiedz!

— Opowiedz, opowiedz!—wołał Wielki Wódz plemienia, niecierpliwie skacząc na jednej nodze.

— Chciałam, aby Cudzoziemiec poszedł po hak Papy; dlatego nakreśliłam rysunek. Nie było tam wcale dużo haków. Był tylko jeden. Narysowałam go trzy razy dla większej pewności. Nie było sposobu narysować go tak, aby nie zachodził na głowę Papy, kawałek ko ry był zbyt mały; a te figurki, które mama wzięła za złych ludzi, to są bobry. Narysowałam je, aby pokazać mu drogę obok stawu, i narysowałam Mamę przed grotą, z twarzą zadowoloną, ponieważ Cudzoziemiec ów jest miły; a wy, wy jesteście wszyscy głupi. Tolko Cudzoziemiec mój, jeden, jest miły. Dlaczego błotem unurzaliście mu włosy? Obmyjcie go!

Długo nikt słowa nie mówił. Potym Wielki Wódz nagle śmiać się począł, po nim Cudzoziemiec jął się śmiać także; Tegumai wybuchnął śmiechem tak wielkim, że aż padł i rozłożył się na ziemi; wreszcie plemię całe zaśmiewało się do rozpuku, jeden głośniej od drugiego. Jedyne osoby, które się nie śmiały, to były Teshumai Tewindrow i pozostałe niewiasty Neolityczne.

Wówczas Wielki Wódz plemienia Tegumai ozwał się i rzekł, obwieszczając:

— O! Mała - osóbka - bez - wychowania - którą należałoby—przetrzepać! zrobiłaś wielki wynalazek.

— To nie naumyślnie; ja chciałam tylko dostać hak z czarnym trzonem, rzekła Taffy.

— Nic to nie znaczy; jest to wielki wynalazek i kiedyś ludzie nazwą go pismem. Tymczasem są to tylko obrazki, jakeśmy widzieli, obrazki, które błędnie można tłomaczyć. Atoli nastanie czas, o, dziecię Tegumai! kiedy sworzymy litery—nie mniej, niż dwadzieścia pięć,—i kiedy będziemy umieli czytać równie równie dobrze jak pisać, a wtenczas nikt się już mylić nie będzie. Niechaj niewiasty Neolityczne oczyszczą teraz czuprynę Cudzoziemca.

Po pewnym czasie, Cudzoziemiec został przyjęty i dupuszczony do plemienia Tegumai, ponieważ był to młodzian dobrze wychowany i nie srożył się za to, że kobiety Neolityczne błotem schlapały mu włosy. Lecz od owego dnia (i niezawodnie jest to wina Taffy) bardzo jest mało dziewcząteк, któreby z ochotą uczyły się czytać i pisać. Większość woli kreśli obrazki i robić wycieczki ze swym Papą—zupełnie tak, jak Taffy.

KONIEC.

materjał duchowy danego osobnika jest taki, że z iskierek tkwiących na dnie duszy da się wykrzesać pod wpływem otoczenia uczucia społeczne—z jednostek, nie posiadających w sobie tego materjału duchowego, żadne wysiłki społeczne nie stworzą ani źdźbła uczucia. Materjał więc przeważnie dziedziczący się musi leżyć w jednostce, a uczucia rozwinie otoczenie, zwłaszcza uczucia wyższe, będące nawskroś skutkiem uspołeczuienia, jak np., miłość ojczyzny, miłość bliźniego, współczucie i t. p. Autor sam to zresztą rozumie i trafnie podkreśla, „że „cywilizacja jest dla każdego z nas dostępną właśnie tylko na tyle, ile jej mamy w sobie".

Ze wszystkiego, co wyżej powiedziano wiemy już, iż autor przypisuje językowi w cywilizacji rolę niezwykle doniosłą; język bowiem zakreśla granice każdego narodu i on przeważnie wywołuje płynące z odrębności narodowej skutki. Stąd wniosek, że istnienie jakiegoś języka powszechnego jest niemożliwością, na co autor przytacza szereg dowodów, natury czysto politycznej, zapominając, że kwestja języka jest dzisiaj wobec najrozmaitszych motywów politycznych jedną z najsilniejszych broni w naszym ręku, z której zawsze korzystać musimy. *Teoretycznie* jednak ze społecznego i cywilizacyjnego punktu widzenia nie ma ani jednego dowodu przeciw językowi powszechnemu, jako przeciw łącznikowi społecznemu, to też nie zrozumiałym jest, w jaki sposób p. M., broniąc zacięcie pluralizmu językowego, dochodzi do wniosku, że „doszłoby do zaniku świadomości".

Podkreślam „teoretycznie", gdyż praktycznie, dzięki dzisiejszemu stanowi zróżnicowania państwowego, a jeszcze bardziej wpajanemu od wczesnych chwil dzieciństwa poczuciu narodowemu we wszystkich krajach wszystkich części świata, dzięki tradycji, urządzeniom społecznym i t. p. owo samopoczucie narodowe jest tak silnie rozwinięte, że sprawa ta nie może wyjść poza rozważania teoretyczne. Z tych też przeważnie względów i pojęcie „ludzkości" praktycznie jest do pewnego stopnia złudą, gdyż każdy z nas ma na myśli, pracując dla dobra innych, przedewszyskim swoje społeczeństwo, którego jest wytworem, wykazuje też chęć oddania mu sił swych i swej pracy; teoretycznie znowu jednak mogę myśleć o „ludzkości", jako o pojęciu oderwanym, pod które nie podkładam, naturalnie, tych uczuć, jakie wiążą mię ze słowem „mój naród, moje społeczeństwo". Należałoby tu, co prawda, omówić wiele ciekawych i oryginalnych myśli, jak np. choćby pogląd o tym, iż człowiek rodzi się dwa razy: pierwszy raz—fizjologicznie, drugi—gdy ludzie rozwijają go w człowieka,—nie sposób jednak to uczynić,ze względu na szczupłe ramy niniejszego sprawozdania.

Na zakończenie pozwolę sobie jeszcze raz tylko podkreślić, że p. M. dla swych dowodzeń socjologicznych posługiwał się człowiekiem,jako materjałem biologicznie całkowicie wykończonym i nie różniącym się pod tym względem od każdego z nas, że biorąc takiego człowieka z jego społecznym usposobieniem, starał się wykryć, co mu pomaga do łączenia się w grupy obszerniejsze, starał się zakreślić granice tych grup. Skąd się jednak to usposobienie społeczne w człowieku, jako w zwierzęciu wzięło, tego autor, naturalnie, tak jak i innych kwestji biologicznych, będących z uspołecznieniem człowieka w ścisłym związku, rozwiązać pomimo dobrych chęci nie był w możności, gdyż na to nie pozwolił mu dzisiejszy stan wiedzy. Ale i tak uczynił wiele. Szkoda tylko, że zbytnio rozciągnął część drugą swej „Nauki o cywilizacji", wskutek czego nie uniknął też częstych powtarzań się, a czytelnikowi utrudnił przez to nieraz dokładne zrozumienie rzeczy.

Byłoby też w następnym wydaniu bardzo pożądanym, aby autor zechciał łaskawie cokolwiek rzecz całą skrócić, na czym praca tylko zyskałaby, dając czytelnikowi materjał bardziej jednolity.

Dr. Stefan Sterling.

KRYTYKA.

Mitologja teatralna.

Dwa mity przyświecają kierownictwu sceny *dramatycznej* w teatrach rządowych: wiara w nieśmiertelność ciała i cześć dla chaosu ducha. Pierwsza objawia się w doborze sił wykonawczych, druga--w niespodziankach repertuaru. Instytucją powołana do czarodziejstwa, do ciskania „uludy boskiej" w tłumy, uległa sama złudzie, sama poczęła żyć złudą. Jeszcze parę miesięcy temu mieliśmy sposobność oglądać trud i znój p-na Kotarbińskiego w młodzieńczej roli Karola Moora, i nic nie daje nam rękojmi, że się ta sposobność więcej nie powtórzy. To też wobec ogromu fantazji, na jaką zdobyć się musi widz teatralny, aby uzgodnić rolę z postacią, blednie fantazja niemieckiego poety. Bo oto zdarzenia tradycji cofają się ku głębiom sceny i nikną, ustępując innemu dramatowi, który z bezpośredniejszą, z narzutliwszą występuje mocą. Sufler szepce p-nu Kotarbińskiemu słowa miłosnego żaru, spotęgowanego rozpaczą na myśl o wiecznej rozłące z Amalją. On zaś, pieszcząc w duszy obraz kochanki, powtarza słowa suflera; lecz jakże inaczej, jak dziwnie załamują się one w jego głosie: to nie burza nawalnych uczuć Schillera, to raczej łzawe echo owej piosenki Asnyka:

„Gdybym był młodszy,
Dziewczyno,
Gdybym był młodszy,
Piłbym ah! wtenczas nie wino,
Lecz oczu twoich najsłodszy
Nektar, dziewczyno!"

— To jesień męzka tak woła na dziewczęcą wiosnę!—pisał niegdyś o tym wierszu Asnyka Sienkiewicz, nie przypuszczając, aby wiosnę dzisiaj reprezentowała pani Marcello-Palińska, która jednak wciąż gra rolę Amalji.

W taki to sposób, na scenie rządowej, każdy niemal dramat, zrodzony w duszy autora, podwaja się dramatem—wykonania. Każde słowo, każda myśl autora obleka się w przędzę cudzych wspomnień, dźwięcząc jakąś obcą, odległą przeszłością.

P-na Kotarbińskiego wskazałem jedynie jako przykład niezmiernie rozpowszechnionej w teatrach naszych niewspółmierności sił osobistych w stosunku do podjętych zadań; nie jest on bowiem wyjątkiem. Wszak w „Rozbitkach" byliśmy skazani na osobliwe ćwiczenie psychologiczne, polegające na wmawianiu w siebie, że pani Horwat i powab młodej dziewoi—to jedno. A ćwiczenia te powtarzają się, niestety, tak często, iż wieczory, spędzane w teatrze, możnaby uważać za szkołę odcyfrowywania palimpsestów: wrażenia teraźniejsze są tam tylko lichym tekstem, pokrywającym chwałę czasów minionych.

To, co dostrzegamy obecnie na scenie dramatu i komedji, wystarczać może, jako świadectwo przeszłości, historykowi, któryby chciał odtworzyć dzieje minionego półwiecza tej sceny; ale zadaniom sztuki żyjącej, zadaniom współczesnego życia, pod żadnym względem wystarczać nie może.

Rapacki, stary mistrz, Leszczyński, Szymanowski, Ładnowski, Wolski, Prażmowski,—jako półbogi, otoczone chmurami duchów, które wywołać i zakląć potrafili w kształt żywy, przechadzają się dziś po scenie samotni, i swą samotnością—wielcy. Lecz jest to wielkość przeszłości. Wzrok wdzięcznego tłumu ściga ich kroki tęsknotą i żalem, chłonie każdy ich ruch, ogarnia postaci ich pamięcią, jak przezroczystym błękitem, w którym świecić nie przestają, ale jednocześnie z niepokojem spogląda na pustkę, rosnącą dokoła nich, i pyta: kto ich zastąpi?

Patrząc na Leszczyńskiego w „Mazepie" chciałoby się razem z poetą wołać:

..."Patrzcie, patrzcie, młodzi!
Może to *ostatni*, co tak poloneza wodzi!"

A któż dźwignie po nim rolę króla, co w obłąkaniu gada z piorunami burzy i w ustach ma pioruny? Kto dźwignie krwawą koronę Macbetha? kto odda ból i zgrozę łamiącego się granitu w duszy bohatera?

Podobneż pytania moglibyśmy czynić w zakresie uzdolnień innych artystów, i na wszystkie jednaką odpowiedzią pozostanie — pustka i milczenie.

Niegdyś, przed kilkunastu, może przed kilkudziesięciu, laty wyżej nadmienieni artyści łącznie z innymi, którzy pomarli lub się usunęli, tworzyli zespół całkowity, o skali tonów pełnej i bogatej: wówczas stał przed nimi otworem swobodny, szeroki obszar sztuki; wówczas Warszawa na scenie swego teatru podziwiać mogła Szekspira i Schillera, nie mogąc... zobaczyć Słowackiego.

A dziś? Dzisiaj Warszawa Szekspira nie ogląda wcale; a na Słowackiego patrzeć — nie chce, jak nie chciała również patrzeć na dramaty i wizje Wyspiańskiego, bo jej wielkie ich dzieła spaczono, spospolitowano, zamknięto w miary małe i ciasne.

Dziś teatr dramatyczny został odcięty od wielkiego repertuaru. Jego poziom ideowy i artystyczny z roku na rok spada coraz niżej Poniechano organizowania zespolu aktorów dla zagrania sztuki; dzisiaj nie wykonawców dobiera się do dzieła sztuki, ale dzieło sztuki wystawia się dla wykonawcy. Wszelkie miary i oceny wartości uległy przesunięciu na bezdroża. Tryumf przedstawienia zasadza się nie na wierności w oddaniu obrazów poety, ale na uwypukleniu indywidualnych znamion pewnego aktora. W ten sposób, ubóstwo sił odtwórczych, stopniowo, zmusza teatry nasze do stosowania systemu, uprawianego dotąd tylko w operze, mianowicie, systemu występów solowych. W każdej sztuce g r a właściwie jeden tylko aktor, ten, dla którego ją wystawiono; reszta zaś służy jedynie ku temu, aby posuwać, w sposób mechaniczny, akcję naprzód, czyli dawać możność soliście manifestowania swej gry.

Dla aktorów, obdarzonych indywidualnością wybitną, kryją się w systemie tym pokusy olbrzymie: rodzi on w duszy aktora złudzenie trzykrotnego zwycięstwa: naprzód zwycięstwa nad otoczeniem współwykonawców dramatu, których usuwa w cień, po za uwagę widza; powtóre zwycięstwa nad sztuką, która swój żywot sceniczny zawdzięczać będzie jedynie mistrzowstwu aktora; wreszcie zaś zwycięstwa nad autorem, który twórczości istotnej zrzeka się na korzyść pomysłowej technik i wykonawcy.

Im talent oraz osobowość aktora jest potężniejsza, tym większe zachodzi niebezpieczeństwo zdetronizowania *celu* artystycznego na rzecz artystycznych *środków*.

Nie mam potrzeby opisywać szczegółowo zjawiska takiego odwrócenia wartości: na scenie teatrów naszych stało się ono chorobą nieustającą; oglądać je możemy niemal każdego wieczoru. Dyrekcja, nie posiadając zespołu aktorskiego, dostatecznego do objęcia wszystkich tonów w jakimkolwiek dramacie, o charekterach silnie zróżnieowanych, powierza w sztuce rolę główną m i s t r z o w i, który nie chybia nigdy efektu, a z resztą ról zdaje stę kompletnie na wolę przypadku i na łaskę miernot. Zadaniem mistrza owego, będzie zagrać tak, aby miernoty owe s o b ą zasłonić; olśnić, oczarować, odurzyć publiczność cudem swego kunsztu tak wyłącznie i tak niepodzielnie, aby oślepła na resztę, aby o reszcie przedewszystkim zaś o autorze — zapomniała.

Któż się zajmuje u nas autorem np. „Bogatego Wujaszka" lub autorem „Koncertu?" Kto śledzi zagadnienia ich twórczości? Kto pyta się o to; czy twórczpść ich zawiera jakiekolwiek zagadnienia? Kto dba o poglądy na świat autora „Tajfuna?" O ideologję twórcy „Samsona" albo „Pietra Carusa?" Wszyscy przekonani jesteśmy jednakowo, że są to rzeczy niegodne ani uwagi ani pamięci naszej. A przecież w pamięci tej żyją, wykrojone na tle owych sztuk, kreacje Kamińskiego, Brydzińskiego, Żelazowskiego, żyją i uwagę naszą pochłaniać będą, mimo poziomość wcielanych w sobie zagadnień. Skoro jednak zapytamy się, czym są owe kreacje, to najściślejsza analiza wrażeń naszych nie wykryje nic ponad subtelną koronkę gestów i syggestyjną melodję słów. Możemy koronkę ową potargać przez nazbyt surową analizę, i rozprząc możemy melodję słów: lecz ani uczuciowej, ani myślowej treści pod nimi nie znajdziemy; są to fajerwerki spalone śród nicości.

Bo nareszcie jasno powiedzieć trzeba, że tryumfy owe, przez artystę - wirtuoza odnoszone nad autorem i nad sztuką, są zwyciąztwami Pyrrusowymi; w bliszej lub dalszej konsenkwencji pustoszyć muszą nietylko smak i umysłowość ogółu, ale ubożą przedeszystkim indywidualne zasoby aktora.

Krytyka jednogłośnie podniosła zalety Żelazowskiego, jako odtwórcy Samsona w granej obecnie sztuce Bernsteina, co więcej: uwydatniła pracę i zasługi jego, jako współtwórcy tej roli, jako ponownego niemal stwórcy tej postaci: on starał się wkorzenić ją w grunt życiowy i w prawdę psychologji ludzkiej; on ją pogłębił o całą tajemniczą głębie uczuć podziemnych i głucho tajonych walk; on ją dźwignął w zwyż i uszlachetnił, przez wyższe napięcie namiętności potęgując grozę wybuchów. A jednak mimo urok i subtelność mistrzowstwa gry, widz nie mógł obronić się pewnemu odruchowi żalu patrząc na scenę, z której bił istotnie wicher wielkiego natchnienia i talentu, ale wicher ten niósł myślątka nikłe jak źdźbła słomy, zmiecione z poziomych obszarów pospolitości. a jałowe i lekkie jak plewy, uczucia i zachwyty tanie, płytkie, jak rzecz przedajna. I widząc Żelazowskiego na scenie, widziało się, że jest on jakoby prawdziwy ów Samson z legendy, co miast przetaczać skały niebosiężnych zadań i służyć wielkiemu bogu, obraca żarna, mielące sypki piasek.

O wielką poezję, o wielkie namiętności, o potężne charaktery zda się wołać i zda się do nich napróżno tęsknić talent Żelazowskiego. Jakie arcydzieła tworzyć może niepospolity artysta, służąc sztuce nie pospolitej, pokazał nam Kamiński, gdy po „bogatych wujaszkach" i „djabłach" zagrał wreszcie Szekspirowskiego Shyloka. Podobnież ożywczego wrażenia energji radosnej doznaliśmy ostatnio, oklaskując Żelazowskiego, jakoFranciszka Moora w „Zbójcach."

Ale trzeba dokoła nich, i dokoła kilku jeszcze artystów równie wielkiej, jak oni, miary, stworzyć środowisko, natchnione aspiracjami sztuki, a co najważniejsza mające przed sobą jeszcze — przyszłość. Środowisko, kóreby nie było tłem dla wirtuoza, ale wraz z nim stanowiło jednolity materjał plastyczny dla urzeczywistnienia wizji wewnętrznej autora.

Dzisiaj zazwyczaj myśl autora pada ofiarą nałogów rezyserskich, a inicjatywa rezysera z kolei gnie się przed nałogiem aktora.

Odwrócić należy tę skamieniałą kolej hierarchji wpływów! Twórczość poety niech będzie natchnieniem teatru; ona wcielać się winna w kierowniczą wolę reżysera i po przez nią kształtować i zestrajać w chór indywidualne siły aktorów. Wtedy tylko wybrnąć zdołamy z mitycznego chaosu, w którym Wolffowie i Bernsteini, Krechowieccy lub Przybylscy wypierają Szekspira, kosztem wyjaławiania najprzedniejszych talentów aktorskich i, po części, pod ich osłoną. Wtedy scena warszawska przestanie być zajazdem na drogach rozstajnych, do którego Wyspiański zagląda bardzo rzadko, zawsze zamaskowany do niepoznania, aby wstydu uniknąć, i zawsze tylko prze-

lotem,—ale w którym stale zato goszczą Konczyńscy, Jaroszyńscy, a nieraz nawet tacy, jak Tobiecki, których... wcale niema, a jednak pochłaniają czas, przestrzeń — i pracę aktorów. Wtedy zarazem zniknie mitologiczny dogmat nieśmiertelnego kwitnięcia wdzięków, zasłużonych wiekiem i pracą heroin naszej sceny, ustępując przed wiarą w ewolucję i postęp sił młodych i przed owych młodych sił — zapałem.

Jan Tarczewski.

„Dzienniki" Hebbla.

W szeregu cennych wydawnictw „Symposionu" ukazał się w przekładzie Karola Irzykowskiego wybór epigramatów jednego z koryfeuszów poezji niemieckiej — Fryderyka Chrystjana Hebbla. Epigramaty te są wyjątkami z „Dzienników", prowadzonych przez poetę w ciągu lat kilkudziesięciu. Pierwszy ich zeszyt zaczął Hebbel w r. 1835, ostatni zaś nosi datę z r. 1863, który był zarazem rokiem śmierci znakomitego dramatopisarza. Literatura nasza posiadała dotąd przekłady tylko dwóch dramatów Hebbla: „Judyty" i „Marji Magdaleny" (*Bibljoteka Złoczowska*). Ponadto istnieje poświęcone specjalnie wórczości Hebbla dziełko Irzykowskiego p. t. „Fryderyk Hebbel, jako poeta konieczności" (Wyd. „Literatura i Sztuka" t. IX. Stanisławów).

Oto garść myśli, wyjętych z nowo wydanego tomu.

* * *

Gdyby Faust miał być wykończony, musiałaby wpierw być wykończona filozofja.

* * *

Każdy naród ma swego genjusza, który w kostjumie tego narodu reprezentuje całą ludzkość; Niemcy — Goethego.

* * *

Niemcy widzą, że dzikie stworzenia są swobodne — i dla tego boją się, że swoboda zrobi ich dzikimi zwierzętami.

* * *

„Nie wszystko złoto, co się świeci!" Należałoby jednak po sprawiedliwości dodać: nie wszystko się świeci, co jest złotem.

* * *

Gdy sędzia strzeli byka, adwokat go dorzyna

* * *

„Odrzuć, abyś nie stracił!" najlepsza reguła życia.

* * *

Ptak i klatka są dla siebie stworzeni. Ale człowiek nie chce klatki mniejszej, niż cały świat.

* * *

Najszlachetniejsi ludzie zadają sobie najgłębsze rany.

* * *

Do piekła życia dostaje się tylko szlachta ludzkości; inni stają przed piekłem i g r z e j ą się.

* * *

Wielu największą ofiarę złożyłoby Apollinowi — gdyby mu już wcale ofiar nie składali.

* * *

Nie powinniśmy się skarżyć, że wszystko przemija. Rzecz najbardziej znikoma, jeżeli nas tylko prawdziwie dotyka, budzi w nas coś wiecznego.

* * *

Zmierzch jest u j r z a n ą nocą.

* * *

Filister ma często słuszność w rzeczy, ale nigdy w motywach.

* * *

Gdy jaka rewolucja się nie uda, nie uda się cały wiek, bo wtedy filister ma dowód rzeczowy.

* * *

Każdy człowiek ma jakiś kącik, o którym sobie myśli: ten znam tylko ja; — jeżeli się chce zaimponować filistrowi, trzeba go aż tam ścigać.

* * *

Jest tylko jeden grzech, który można popełnić przeciw całej ludzkości, ze wszystkimi pokoleniami, a tym grzechem jest sfałszowanie historji.

* * *

Pewien król zapewniał poddanych tak długo, że jest liberalny, aż ośmielili się uwierzyć mu.

* * *

Człowiek nie może nigdy ukłonić się jednej prawdzie, nie następując drugiej na piętę.

* * *

Litość jest najtańszym uczuciem ludzkim. Świat lituje się nawet nad męczennikami zła.

* * *

Człowiek potrafi każde swoje nieszczęście wydedukować z jakiejś w i n y.

* * *

Upór jest najtańszym surogatem charakteru.

* * *

Niewinność jest budzącą się zmysłowością, która siebie samej nie rozumie.

* * *

Najlepszą stroną religji jest ostatecznie to, że rodzi kacerzy.

* * *

Kto chce odbyć podróż do gwiazd, niech nie szuka towarzystwa.

* * *

Szczególnie tragicznym rysem życia jest to, że kto karze zbrodnie, najczęściej sam przez to staje się zbrodniarzem.

* * *

Dzięki ludziom cnotliwym, schodzi cnota na psy.

* * *

Jeniec jest kaznodzieją wolności.

* * *

Kiełkowanie i gnicie są siebie blizkie, są nawet często tym samym.

* * *

U wielu ludzi odrobina rozsądku jest tylko ubogim kagankiem, który nie oświeca nic, jak tylko ich własną nędzotę.

Proza przedstawia to, co się **przemyślało**; poczja to, co się **przeżyło**. To główna różnica.

* * *

Najlepsza jest ta wiara, dzięki której człowiek najwięcej zyskuje, a Bóg najmniej traci.

* * *

To, co boskie, buntuje się przeciw Bogu, bo jest mu równe.

* * *

Człowiek jest łożem prokrustowym bóstwa.

* * *

Strzała ucieka od łuku, który jej nadał siłę.

* * *

Religja jest fantazją ludzkości, zdolnością — nie do wyjaśnienia, lecz do zaprzeczania wszelkich sprzeczności.

* * *

Nauka kościoła katolickiego, że cnoty świętych stanowią skarbnicę łask, z których pożytki ciągną wierni, jest konsekwencją pojęcia własności, zastosowaną do spraw duchowych.

* * *

„Musi być w tym trochę prawdy" — mówi się słuchając potwarzy. Tak, ale jest to prawda rozszarpana na szmaty przez psy.

* * *

Serce jest magnesem cierpień.

* * *

Jeżeli Tacyt potępia całą ludzkość, w nim samym, w jego świętym gniewie, ocalone są jej najpiękniejsze przymtoty, i dlatego otucha nie opuszcza nas wśród wszystkich jego opisów okrucieństw.

* * *

Właśnie bez tego może się świat obejść, gwoli czego jedynie zasługuje na istnienie.

* * *

Człowiek ma wolną wolę: to znaczy wolno mu zgodzić się na konieczność.

* * *

Młodości czyni się często zarzut, że myśli, jakoby świat dopiero z nią się zaczął. Ale starość jeszcze częściej mniema, że z nią się świat kończy. Co jest gorsze?

* * *

Czy rozbitek **kocha** belkę, którą tak kurczowo obejmuje?

* * *

„Wielbię Boga za to, że mnie stworzył!" Masz do tego większą przyczynę, niż ktokolwiek inny, gdyż czynił to z pewnością ze wstrętem.

* * *

Jeżeli się czegoś bardzo gruntownie nienawidzi, nie wiedząc czemu, można być pewnym, że cząstkę z tego ma się we własnej naturze.

* * *

Komentarz: „Nebukad Nezar — żarł trawę". To można rozumieć symbolicznie: był amatorem sałaty i za to okrzyczano go warjatem. Tak muszą pokutować wielkie duchy, które robią nowe odkrycia dla pożytku ludzkości.

Są ludzie, którzy wywierają takie wrażenie, jakby zamiast mózgu mieli w czasce zaciśniętą pięść: tak uparci są w swojej głupocie.

* * *

Rewolucja jest chorobą ludzi; lecz taką, na którą umierają królowie.

* * *

Dekretować koniec febry! To jest metoda lekarzy państwa.

* * *

W nieśmiertelność uwierzę dopiero wtedy, gdy zobaczę, że natura przykleja na wiosnę do drzew te same liście, które spadły w jesieni.

* * *

Są ludzie, którzyby się cieszyli nawet z końca świata, gdyby go przepowiedzieli.

* * *

Malarz Rahl powiedział trafnie: ...„że chrześcjaństwo pochodzi od żydostwa, widać już stąd, że wszystko jest obliczone na zysk i stratę: niebo i piekło".

* * *

Najpiękniej umiera gałąź: łamie się pod ciężarem własnych owoców.

* * *

Płomień jest kwiatem nocy.

* * *

Żenić się bez miłości: robić głupstwo w rozsądny sposób.

* * *

Ludzie z węgla, którym się paparzyli, robią często Wezuwjusz.

* * *

Szczypcie myszy w ogon, a posłyszycie tony najnowszych skrzypków — wirtuozów.

* * *

Przy modlitwie i przy goleniu przybiera człowiek jednakowo pobożną minę.

* * *

Sen jest rozkoszowaniem się śmiercią.

* * *

„Jak dobry jest Bóg! Stworzył człowieka, abym się mógł wyżywić! — rzekł tasiemiec.

* * *

Dla kogo dramat historyczny niezgodny z dziejami jest grzechem przeciwko dziejom, temu i stół musi się wydawać grzechem przeciwko drzewu.

* * *

Dlaczego poeta nie jest zarazem człowiekiem czynu? Dlaczego mózg nie jest także pięścią?

* * *

Każde słowo jest barwą i miarą.

* * *

Śmierć stoi zawsze za nami z otwartymi ramionami; we śnie obejmuje nas.

* * *

Są ludzie, którzy się sami myją, gdy widzą, że inni są brudni.

* *

Kręgielnia robi wiele hałasu, póki nie wybuchnie burza.

* *

„Tu jest bagno". „Ale ziemia jest przecież piękną planetą!" — Jak często się tak dysputuje!..

NA DOBIE.

Akademja hutniczo-górnicza.

Sekcja mineralogiczna zjazdu lekarzy i przyrodników w Krakowie uchwaliła następujące wnioski: 1) Zjazd, uznając założenie wyższej uczelni naukowej hutniczo-górniczej za bardzo ważną i pilną potrzebę naukową i gospodarczą, zwraca się do czynników miarodajnych z gorącą prośbą o wyjednanie u władz jaknajrychlejtzego założenia Akademji górniczo-hutniczej w kraju, uważając Kraków za jaknajodpowiedniejszą siedzibę. 2) Zjazd przypomina konieczność jaknajrychlejszego powołania do życia krajowego zakładu geologicznego w Galicji. 3) Zjazd uznaje założenie Muzeum przyrodniczego ziem polskich w Krakowie za pilny postulat narodowy i odwołuje się do społeczeństwa o poparcie materjalne i wspieranie Towarzystwa muzealnego.

Jest to bodaj najważniejsza uchwała Zjazdu. Akademja górniczo-hutnicza jest dla społeczeństwa polskiego zakładem nieodzownie potrzebnym. Przemysł górniczy i hutniczy w Zagłębiu Dąbrowskim zajmuje pierwszorzędne miejsce w Europie; na szerokich terytorjach Galicji drzemią bogactwa kopalne, w niektórych zaś miejscach są eksploatowane nieudolnie i pierwotnie. Na tak poważną produkcję w Królestwie przed laty kilkunastu stworzono zaledwie skromną szkołę sztygarów. To też młodzież nasza, pragnąca się poświęcić tym dziedzinom pracy, musi jechać albo za granicę, albo zdobywać sobie niezmiernie trudny wstęp za pomocą egzaminów konkursowych, do Instytutu górniczego w Petersburgu, który nie odpowiada w całości potrzebom przemysłu naszego. To też wszystkie najważniejsze placówki w tych gałęziach produkcji są silnie obsadzone specjalistami cudzoziemskimi.

Jakkolwiek Akadmja górniczo-hutnicza ma być przeznaczona dla potrzeb Galicji, nie ulega jednak wątpliwości, iż siłą rzeczy zapełni się ona w znacznej mierze młodzieżą z Królestwa Polskiego.

Zarówno krajowy zakład geologiczny, jak i Muzeum przyrodnicze mogą być instytucjami pomocniczymi dla Akademji górniczo-hutniczej, poza szeregiem innych zadań naukowych.

Galicja posiada te warunki szczęśliwe, że tam, niezależnie od samopocy społecznej, instytucje takie może stworzyć i utrzymać fundusz krajowy.

Motywy i cele.

Trzask zapadającej się wielkiej budowy stronnictwa nar. demokratycznego, echo napaści ulicznej, niezliczone z tego powodu komentarze, protesty i repliki, odsunęły na plan dalszy właściwą istotę sprawy, która bezpośrednią upadku Endecji stała się przyczyną. Obecnie uwaga publiczna powoli ku niej wraca. Niewątpliwie obie strony, na które opinja społeczna się w tej sprawie rozłamała, nie wypowiadają trgumentów swoich do dna szczerości. Niemniej już dzisiaj zauważyć można zjawisko szczególne: dziwną mianowicie sprzeczność, zachodzącą między charakterem motywów a charakterem wniosków i celów, które motywy owe uzasadnić mają. Stronnicy uchwał endeckich w gruncie rzeczy, mają na widoku cele praktyczne i kontretne — udostępnienie młodzieży dyplomów państwowych, tymczasem zaś uzasadniają swe wnioski względami natury ideowej i ogólnej (np: bojkot wyłonił się z waru rewolucji; rewolucja skipiała, a więc etc.) Przeciwnicy, natomiast, uchwał Dem. Narodowej, postanawiający utrzymać wychowanie młodzieży w ręku społeczeństwa, rzekomo dążą do celu idealnego, jeśli nie do utopji. Tak przynajmniej prasa ugodowa nazywa przedmiot ich dążeń i starań. Cel swój uzasadniają jednakże w sposób niezmiernie rzeczowy dowodami natury praktycznej, gospodarczej; nie abstrakcję ogólnikową, ale konkretne interesy życiowe młodzieży oraz społeczeństwa całego przytaczając na poparcie swego stanowiska. Wskazują oni, że egzaminy państwowe, zaopatrujące młodzież naszą w dyplomy, tworzyły przeważnie dwie kategorje fukcjonarjuszy: adwokatów i lekarzy, pozatym garść urzędników. Otóż aczkolwiek i lekarze i adwokaci pełnią czynności bardzo użyteczne, nigdzie jednak nie stanowią podstawy życia ekonomicznego. Bogactwo kraju zasadza się na wytwórczości rolnej i przemysłowej, tudzież na obrocie handlu.

Dotychczas stosunki przedstawiały się u nas w ten sposób, że gdy prawników i medyków w kraju naszym mieliśmy nadmiar, pracowników na polu zawodów praktycznych, specjalistów w zakresie różnych gałęzi przemysłu sprowadzać musieliśmy z zagranicy. Prostym wynikiem dzisiejszych warunków szkolnictwa, które praw rządowych nie daje, ale otwiera drogę do wykształcenia specjalnego, będzie właśnie owo pożądane skierowanie młodzieży do zawodów praktycznych. Osiągnięcie takiego skutku słusznie uchodzićby mogło za wielką wygraną. Stanowczo atoli wyrokować o wyższości tego stanowiska, będziemy mogli dopiero wówczas, gdy z młodzieżą tą zetkniemy się w życiu i obaczymy owoce jej pracy.

Dopóki przebywa zagranicą na studjach, w mniejszym lub większym stopniu pozostawać będzie dla nas wartość jej społeczna—tajemnicą. Znamy ziarno, któreśmy w duszach jej zasiali. Nie znamy atoli klimatu, w jakim każde z owych ziarn wzrosło i rozkwitło.

Wobec tego też uznać musimy, ze horoskopy dzisiejsze, znaczone tym lub innym odłamom młodzieży, przez te lub inne obozy opinji, usiłują rozwiązywać równania o zbyt wielu niewiadomych, aby pretendować mogły do pewności wskazań, jakie dają.

Szkoła tolerancji.

Prokuratorja krakowska skonfiskowała książkę M. J. Walewskiej (hr. Wielopolskiej) „Pani El", wydaną świeżo przez spółkę nakładową „książka" w Krakowie. Konfiskacie uległy w całości następujęce zawarte w tej książce nowele i studja: „Hildebrand", „Nowela o Człowieku", „Baśń niechrześcjańska" i „Swięty Smaragdus", jako też jeden wstęp do szkicu „Ptak". Prokuratorja dopatrzyła się w skonfiskowanych ustępach zbrodni obrazy urządzeń religijnych i zgorszenia obyczajności publicznej. Rzecz godna uwagi, iż większość wymienionych utworów drukowana była w czasopismach Warszawskich, nie wywołując jakiejkolwiek interwencji ze strony cenzury lub prokuratury. Któżby pomyślał, że przedstawiciele obu tych instytucji zmuszeni bywają nieraz kolegom swym austrjackim udzielać niemych, jakkolwiek strasznie wymownych lekcji — tolerancji?

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Trudno jest nie dostrzec uderzającego swą wymową faktu, iż okres wybujania wpływów Nar. Demokracji zbiega się z okresem istnienia Skarbu Narodowego, na którym stronnictwo to położyło rękę; broszura Gierszyńskiego i odezwa Jeża rzuciły jaskrawe światło na przebieg gospodarki endeckiej, podczas której na cele demagogji partyjnej strwonione zostały sumy, do całego należące narodu. Ale jakby nie dość było jeszcze ruiny Skarbu Narodowego, ten sam los zagraża obecnie Muzeum Narodowemu w Rapperswilu. Napróżno najpoważniejsi ludzie, etycznie nieposzlakowani, a żywo i gorąco instytucją muzealną się interesujący, wystąpili z żądaniami gruntownego uzdrowienia gospodarki rapperswilskiej, Zarząd muzeowy zbagatelizował wszelkie oskarżenia i, jak wiadomo, ustami prezesa Rady oraz w jednej osobie dyrektora Muzeum, p-na Gałęzowskiego, odwołał się od czynów własnych do swego własnego sumienia, pokrywając zarzuty wszelkie płaszczem narodowej powagi swego stanowiska. Podobne urągliwe lekceważenie zarzutów i oskarżeń jeden tylko mieć może śmieszny, a pychą nacechowany zamiar: załatwienie sprawy za pomocą wygodnego, a wcale jej nie rostrzygającego samosądu. Obecnie wszakże, jako ostatni gromowy pocisk, pada na szalę oburzenia powszechnego, odezwa sędziwego kontrolera Rady Muzealnej, Zygmunta Miłkowskiego. Treść zasadnicza odezwy zawiera wniosek, w postaci najsurowszej, żądający, aby Zarząd muzeowy oddał się pod Sąd Obywatelski.

Takie pod sąd samooddanie się, motywuje odezwa, koniecznem jest:

1) dla załatwienia niezaszczytnej dla nas sprawy pomiędzy sobą, bez możliwego wytaczania jej przed sądy szwajcarskie;

2) dlatego, że zarzuty w niej są tak dosadne, a oskarżenia tak ciężkie i w takie wiarogodne zaopatrzone świadectwa, że ślepa jeno łatwowierność, w połączeniu z obojętnością na cześć naszą narodową, może je z zawiści lub z widoków osobistych pochodzącą miarą plotkarstwa ważyć.

Plotki tego rodzaju wchodzą do kategorji oszczerstw, znaczonych w kodeksach kryminalnych w dziale zbrodni, wymagających sądowego oskarżanych o nie oczyszczenia.

Zlekceważenie oskarżeń i świadectw ludzi znanych, jakieby mieć musiało następstwo?

Odpowiedź na zapytanie to poprzedzę zapytaniem:

Czym—w braku dyplomatyczno-politycznego przedstawicielstwa w państwach obcych—jest dla sprawy polskiej przez Władysławy Platera zagranicą, w Szwajcarji, w zbiegowisku inteligencji świata całego, założony, o Polsce i prawach jej świadczący, kulturalno-polityczny posterunek?..

Opuszczenie przez polaków, wychodźców czy krajowców, posterunku tak ważnego, byłoby, ze szkodą wielką połączonem, smutnem, wstyd i hańbę nam przenoszącem, własnoręcznem — na co się niestety zanosi — onego zburzeniem, podczas gdy, zajęcie się nim przez polską w kraju opinję publiczną i wysadzenie z łona jej Komisji czy Komitetu obywatelskiego, odpowiednio w sądowe atrybucje zaopatrzonego, mogłoby się ogromnie tak dla sprawy polskiej, jak na korzyść naszej zagranicą światła szukać zmuszonej młodzieży, jako też dla narodowej czci naszej — do uratowania posterunku tego przyczynić.

Czyż i ten głos zlekceważony zostanie również, jako niekompetentny i stronny przez uparte grono owych ludzi śmiesznych i *małych*, którzy przez ironję losu posiedli władzę wyrządzanie *wielkich* szkód?

* Gospodarka rapperswilska w miniaturze daje obraz tych metod i sposobów postępowania, które na szeroką skalę rozwinęły się w obozie Demokracji Narodowej: w górze rozwinięty sztandar ojczysty, a na dole, w ukryciu przed kontrolą publiczną, matactwa i szacherki ambicji partyjnej, krzyżującej się z interesami osobistymi.

Myśl Niepodległa, zastanawiając się nad upadkiem tego stronnictwa, podkreśla, iż głównym powodem wszystkich jego zboczeń i błędów, tak donioslych i brzemiennych następstwami społeczymi, był zupełny brak zasad i charakterów.

I niewiadomo zaiste, co było większe, czy przerażający brak zasad, nieuctwo sfer kierowniczych, ciasnota umysłowa, czy też brak zupełny charakterów, na które możnaby liczyć.

Ani pod względem umysłowym, ani pod względem moralnym Demokracja Narodowa nie pozostawi po sobie w historji wspomnienia zaszczytnego. A najfatalniejsze było jej pojęcie polskości, które urągało tym właśnie tradycjom, na które się ona wciąż powoływała.

Ludzie mali, ograniczeni, źli, dorwali się do skarbca narodowych tradycji, poubierali się w korony, berła, rozdali między siebie marszałkowskie laski, słowem urządzili historyczną maskaradę, która była tylko profanacją, ale niczem więcej. Ludkowie bardzo małego kalibru puszyli się na wielkie postaci historyczne przeszłości naszej. I trzebaż rzeczywiście szczególnego zdarzenia, że wreszcie zorjentowano się w tej komedji i — wyrzucono ich za drzwi.

Fakt pozostaje faktem, iż w okresie wprost groźnym wcisnęli się na wodzów narodu ludzie najmniej do tak ważnych zadań powołani. Dopóki sytuacja nie wymagała sprawdzianów, dopóki łowiło się ryby w wodzie mętnej, dopóki szło się w kurzu, uchodziło. Ale wszystkie momenty krytyczne były zarazem momentami fatalnej demaskarady komendjantów politycznych, którzy szachrowali ideami, kierowali się intrygą, walczyli blagą i podmową, obmową i łamańcami, którzy z nikiem nigdy nie byli szczerzy i którzy ducha swego kółeczka przyjacielskiego chcieli narzucić ogółowi jako ducha narodu.

A co dalej?

I oto znowu gruzy, znowu rumowiska, znowu szereg lat straconych. Ani jedna idea, ani jedna zasada, ani jedno pojęcie nie zostało uratowane. Na nowo możemy stawiać pytanie, co to jest narodowość i co to jest demokracja i dlaczeg te dwa pojęcia mają iść w parze?

* Wobec ogromu spustoszeń kulturalnych, poczynionyah przez kilkunastoletnie rządy Endecji, usiłowania nasze zwrócić się powinny przedewszystkim w kierunku pracy nad podniesieniem w kraju zasobów kultury. *Kurjer Poranny*, powołując się na słowa Mochnackiego, iż „aby zdziałać zmianę w składzie stosunków społecznych, trzeba przedewszystkim społeczności; żeby się wewnątrz inaczej urządzić, trzeba egzystować”, stwierdza, że owa większość narodowa, która dotąd szła za Dmowskim, a obecnie go opuściła, nie stanowi określonej formacji społecznej lub politycznej; to jeszcze jest materjał surowy, wymagający uprawy systematycznej pod względem umysłowym i obyczajowym, nim stanie się zdolny do stworzenia mocnej, czynnej i, pod względem postępu społecznego, twórczej organizacji. Ową masę atomów, w jaką rozsypała się Endecja, nazywa on „spadkiem bez wartości“. Dyskusja nad nowym położeniem w polityce wewnętrznej naszego kraju właściwie jeszcze się nie zaczęła,—pisze tenże *Kurjer*:

Artykuł p. Czesława Jankowskiego, wzywającey do podjęcia usiłowań organizacyjnych dla stworzenia nowej budowy politycznej, sprawił sensację głównie ze względu na szpalty na jakich się ukazał; ze względu na zawartą w nim charakterystykę historyczną rozkwitu i katastrofy ubóstwianej do niedawna na tych samych szpaltach Endecji. Znalazł się inny dziennik, który konkluzję p. Jankowskiego zrozumiał jako akt otwierający postępowanie spadkowe i wzywający spadkobierców do należytego wylegity-

mowania się z warunków popularności i zasobów materjalnych, niezbędnych na cele agitacyjne.

Spadkiem atoli po endecji mogłoby być tylko wzięcie w pacht konsensu na „ekspozyturę narodu polskiego", a raczej tylko masy, stanowiącej większość społeczną naszego kraju. Podstawienie się tej niemej, bezwładnej masie za organ myśli, mowy i zbiorowego czynu, może być pewnego rodzaju interesem politycznym, za poważną i użyteczną pracę publiczną uważane być nie może.

Afisze dziennikarskie sklepu endeckiego brzmią zresztą po likwidacji bardzo skromnie. Dawna jarmarczna reklama spokorniała; bim-bumy i tamtamy umilkły. Okazuje się dzisiaj, że firma Endecji „stwierdziła niejeden błąd w swych metodach", że „niezawsze ma słuszność w polityce, i że „ma nadzieje, iż się wiele jeszcze nauczy," spostrzegła nareszcie że i po za nią—narazie jak się zdaje tylko między ugodowcami są, którzy „poważnie i dojrzale o sprawach kraju myślą", że co więcej „poważnym i dojrzale myślącym o sprawach kraju" wolno być nareszcie i przeciwnikami endecji. Jakże daleko odbiegliśmy od niedawnych jeszcze czasów, kiedy to każdy, kto nie był endekiem, nie miał prawa nawet do polskości!

* W *Tygodniku Suwalskiw* p. St. St. pisze o enuncjacji demokracji narodowej, protestując żywo przeciw znanym zarzutom o prześladowaniu i odstraszaniu tym sposobem młodzieży od szkoły rządowej, tak że obcy mogliby sądzić, że „do szkoły polskiej pędzono dzieci batem.".

„Przyznając wyższość szkole polskiej — pisze dalej między innemi — mówicie jednocześnie, że potępiacie prześladowanie tych, którzy uczęszczają do szkół rządowych. Otóż, powtarzając wam raz jeszcze, że oskarżenie o prześladowanie jest mylne, wywołane jedynie niezrozumieniem ducha własnego społeczeństwa, zwracam uwagę na brak logiki w waszem rozumowaniu; boć skoro sami widzicie wyższość szkoły ojczystej to musicie pojmować, że pędzić do niej batem nikogo nie trzeba, że od szkoły gorszej niema potrzeby nikogo odstraszać, za uczęszczanie do niej prześladować.

„Nie chcę wchodzić w pobudki, jakie kierowały piórem piszących manifest, uważam jednak za konieczne zwrócić uwagę tych niepowołanych amatorów literatury, że rzucając publicznie jakieś oskarżenie na ogół prześladowanego społeczeństwa, należy się przedtem dobrze zastanowić nad słusznością zarzutu i skutkami, jakie on wywołać może. W polityce, którą prowadzicie, przebacza wam naród wasz codzienne błędy, ale nie zapominajcie o tem, że są rzeczy, które piętnują ich sprawców na wieki — rzeczy, których ogół nie ma prawa darować, a na których wartości poznają się nawet wrogowie i ocenią podług zasług".

* Jako mimowolny komentarz do polityki „neosłowiańskiej", niezmiernie aktualny wobec świeżych zajść w Białogrodzie, komentarz, stawiący w istotnem świetle jej sztuczność i chimeryczność, zjawił się w *Kurjerze Lubelskim* artykuł poświęcony stosunkom narodowościowym, panującym na Śląsku Cieszyńskim. Jak wiadomo, dzielnica ta jest areną współzawodnictwa i walki trzech narodowych żywiołów: niemców, polaków i czechów. Obóz zasługuje na uwagę, że ci ostatni, dążąc do rozszerzenia granic swego „stanu posiadania" gwałtowniejszy wywierają napór na bratni naród polski, niż niemcy, odwieczni nieprzyjaciele Słowiańszczyzny. „Walka ludu polskingo z czeską inwazją, — czytamy w korenspondencji p-na M. Jarosza, — inwazją traktującą

bezwzględnie wszystko, co polskie, istniała od lat wielu. W ostatnim czasie, dzięki uświadomieniu ludności robotniczej, a zwłaszcza ludności przybywającej licznie z Galicji, przyjęła szersze rozmiary. Sprawa szkolna stała się jedną z najbardziej piekących w chwili, gdy ludność robotnicza dojrzała i zdobyła pewne oparcie w swych organizacjach robotniczych.

Walka o szkoły polskie, o język polski w sądzie, urzędzie, gminie jest nadzwyczaj trudną w Zagłębiu. Burżuazja czeska rozporządzając kwestją bytu kilkudziesięciu tysięcy rodzin robotniczych, nie cofa się przed użyciem wszelkich, choćby najbrutalniejszych środków walki, byle zniszczyć opór i obronę ludności polskiej.

Zagłębie węglowe, mając liczną ludność robotniczą, politycznie uświadomioną, stało się dziś głównem terenem walki. Mimo niekorzystnych warunków ekonamicznych, ludność górnicza nie cofa się przed obroną. A że ludność robotnicza jest przeważnie polską a klasy rządzące obconarodowe, przeto każdy krok naprzód, uczyniony przez proletarjat polski, jest zarazem posunięciem naprzód sprawy polskiej na Śląsku Cieszyńskim.

Rozwijający się ruch współdzielczy obok związków zawodowych i politycznych robotniczych, organizacje oświatowe, stanowią silne oparcie dla wyzwalającej się z pod obcych wpływów ludności polskiej. Jak wielkim powodzeniem cieszy się szkoła polska wśród polskiego proletarjatu górniczego świadczy fakt ten, że założone przed dwoma laty gimnazjum realne im. Słowackiego w Orłowej nie może pomieścić zgłaszających się uczniów i to synów wyłącznie górników. Robotnicze stowarzyszenia współdzielcze spieszą chętnie z subwencjami na zakład ten, utrzymywany przez Macierz Szkolną i T. S. L.

Słuszną też kończy uwagą artykuł swój p. Jarosz, że tylko krótkowidztwo polityczne klerykałów polskich, a raczej zupełne lekceważenie sprawy narodowej, może nakazywać ultramontanom śląskim zwalczanie ruchu robotniczego.

KRONIKA.

JÓZEF KOŚCIELSKI zmarł d. 22. b. m. w majątku swym Miłosławiu, w Poznańskim. Słynny w zaborze Pruskim polityk, działacz społeczny i literat, ur. w Służewie w r. 1845 odbywał studja na uniwersytetach Hejdelbergu i Berlinie.

Po odbyciu podróży na Wschód osiadł w rodzinnym majątku na Kujawach. Na pole literatury wystąpił w 1869 r. jako poeta liryczny, swemi „Sonetami Nadgoplańskiemi". Następnie napisał kilka utworów dramatycznych, z których niektore grane były na scenach polskich. Prócz tego pisał szkice satyryczne, artykuły i rozprawy, pomieszczane w ostatnich czasach w pismach poznańskich, uprzednio w prasie innych dzielnic polskich. Mimo skłonności do polityki ugodowej, którą jakiś czas uprawiał względem rządu i dworu pruskiego, wykazywał nieraz wiele odwagi cywilnej i patrjotyzmu, zwłaszcza oe chwili, gdy zabiegi ugodowe okazały się mrzonkami, a Kościelski popadł w niełaskę u dworu. Wzniósł w ogrodzie w Miłosławiu, dokąd się usunął od życia publicznego, pomnik Słowackiemu, dłuta Marcinkowskiego, którego odsłonięcie w 50-ą rocznicę śmierci poety odbyło się z wielką uroczystością, gościł u siebie parę razy „Sokołów" poznańskich, prześladowanych przez władze pruskie i wypowiadał się nieraz w ostatnich czasach przeciw polityce pruskiej względem Polaków odważnie i śmiało.

Pomijając jego skończoną oddawna rolę polityczną, polegającą właściwie na związaniu losów ojczyzny kaprysami dobrego humoru niemieckiego monarchy podnieść należy, że był to człowiek miłujący ziemię ojczystą i zapisał się dobrze w pamięci bliżej go znających.

OD REDAKCJI. Z powodu zamieszczonej w numerze zeszłym naszego pisma krytyki pióra p. St. Kiedrzyńskiego, poświęconej utworowi p. Birmy-Dróbeckiego, p. n. „Fartuszek", jesteśmy proszeni przez autora tegoż o zaznaczenie, że szereg wyliczonych w pomienionem artykule książek w rzeczywistości ukazał się w druku, nakładem dwóch firm księgarskich, osiągając w pewnych kołach czytelniczych dość znaczną popularność i spotykając się z pochlebnymi wzmiankami pewnego odłamu krytyki. Egzemplarze owych książek oraz okazy ocen krytycznych zostały przedłożone Redakcji, co niniejszym stwierdzamy.

OGŁOSZENIA.

Wydawnictwo jubileuszowe.

Prenumeratę na ilustrowany **Wybór nowel Wiktora Gomulickiego** przyjmuje radakcja *Prawdy* na warunkach następujących:

Cena egzemplarza zwyczajnego, w wydaniu wytwornym, z ilustracjami najpierwszych polskich artystów — rp. 3, z przesyłką pocztową rb. 3 kop. 50.

Na papierze czerpanym — rb. 10, z przesyłką pocztową rb. 10 kop. 50. (Egzemplarzy takich, opatrzony ch kolejnymi numerami, będzie 50).

Na papierze najwykwi ntniejszym, holenderskim lub japońskim, z autografem autora i wydrukowanym nazwi skiem prenumeratora — rb. 25, z przesyłką pocztową o 60 kop. drożej. (Egzemplarzy takich, oznaczonych kolejnymi literami alfabetu, będzie 10).

Książka wyjdzie w miesiącach zimowych r. b. Po wyjściu cena zostanie podniesiona.

Nazwiska prenumeratorów będą ogłaszane w *Prawdzie.* Całkowita ich lista zostanie wydrukowana przy „Wyborze nowel".

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb 8,z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski.**
Redaktor: **Aleksander John.**
Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.**
Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Piękna 15.